AS



Nr.
5 LUTEGO
CENA 40 GROSZ

KRÓLOWA KARNAW

Fot. Andrea – Paryż

„Gdzie djabeł nie może...“

TADEUSZ BILIŃSKI

Z TAJEMNIC HISTORJI

Prawdopodobnie tylko tej okoliczności, iż historją oficjalną robią i piszą prawie wyłącznie mężczyźni — należy przypisać fakt, że zbyt mało poświęca się miejsca historjotwórczej roli kobiet — chyba, że nosiły koronę na swej kształtnej głowie, jako samodzielne władczynie, lub też wpływały bezpośrednio lub pośrednio na losy krajów, gdzie przyszło im być małżonkami monarchów, lub ich... miłośnicami.

Poza tem możnaby na palcach obu rąk wyliczyć wszystkie inne „historyczne“ kobiety, które — nie będąc ani monarchiniami, ani też kochankami władców — przeszły do dziejów ludzkości.

Zwłaszcza o tych, które niejako za kulisami dziejów — jako sprytne reżyserki, inspicjentki no i inspiratorki — jednem słowem — „sojuszniczki djable“ — kierowały często „oficjalnemi“ dziejami, mało słychać w historji.

O nich to właśnie historja mało co wie, albo też wiedzieć nie chce.

A tymczasem...

Cherchez partout la femme... (Szukajcie wszędzie kobiety) jako źródła genezy, czy też „motoru“ wielu dziejowych wydarzeń, które pozornie wydają się nieraz dość niejasne i skomplikowane poprostu dlatego, ponieważ nie znamy ich właściwej „podszewki“ i „kulisów“.

O wiele dosadniej od zacytowanego francuskiego powiedzenia wyraża tę samą myśl polskie przysłowie: „Gdzie djabeł nie może, tam babę pośle“.

Ile razy na przestrzeni dziejów ludzkości „djabeł“ chciał przeprowadzić tylko sobie samemu wiadome, często... niechlubne cele — wyręczał się w tym względzie... babą... pardon... kobietą, którą zresztą średniowiecze przez wieki uważało... słusznie, czy niesłusznie za sojuszniczkę samego czarta, za „łańcuch“, przy pomocy którego djabeł ciągnie nieszczęsne dusze męskie... do piekieł.

Nie sięgając aż do pradziejów ludzkości — ani też do sprawczyni zaciętych bojów pod Troją pięknej Heleny — wystarczy tylko cofnąć się do dziejów Francji w wieku XVII i XVIII, ażeby stwierdzić, że... przysłowia są przecież mądrością narodów i że historja w tym względzie — jeśli chodzi o „odcinek kobiecy“ — wykazuje bardzo wielkie luki, które należałoby w każdym razie wypełnić.

W żadnym jednak wieku kobiety — a ściślej mówiąc — kurtyzany, awanturnice, a zwłaszcza szpiegi płci niewieściej, nie odgrywały tak wybitnej roli, nadając prawie wyłącznie ton polityce — jak właśnie w XVII wieku we Francji.

Jedną z najwybitniejszych niebezpiecznych „herod-bab“ XVII w. była pani du Tillier, którą przezwano „morderczynią królów“. Była to stara panna, sucha, śniada i cyniczna. Wszyscy w Paryżu dobrze wiedzieli, że ona, a nie kto inny, zamordowała Henryka IV, Ravaillac zaś był tylko powolnem narzędziem w jej rękach. Nie niepokojono jej zaś naówczas jedynie dlatego, że miała bardzo wpływowych wspólników w wyższych sferach. Na uwagę zasługuje fakt, że w następstwie właśnie owa niesamowita reputacja królobójczyni otaczała ją nawet pewną aureolą i spowodowała sui generis respekt i ogromne wpływy. Wszyscy byli najgłębiej przekonani, że panna du Tilier zamordowała króla, po porozumieniu się z jego małżonką Marją Medici i to naturalnie wystarczało, aby każdy drżał przed straszną, djabelską starą panną. Tak więc Ludwik XIII zasiadł na tronie dzięki zbrodni, popełnionej przez kobietę, a jego minister Richelieu rządził wyłącznie przy pomocy kobiet.

Główną dostawczynią wiadomości dla kardynała była jego kuzynka pani Combales. Ona to zorganizowała cały sztab, złożony ze zręcznych intrygantek, które służyły Richelieu'mu całą duszą i przy ich pomocy minister był zawsze w posiadaniu tajemnic każdej alkowy i każdego buduaru. Spisek Cinq Mars'a został zdradzony przez... przekupioną pokojówkę. Gdyby nie ta subretka, zamordowanoby niechybnie kardynała i rewolucja francuska wybuchłaby zapewne już... w XVII wieku. Marion Delorme, znana kurtyzana była również przez pewien czas „muszką“ (tak je wówczas nazywano) Richelieu'go. Pochodząc z arystokracji francuskiej, wielbicieli swych, do których między innymi należeli marszałkowie d'Albert, de la Melleraye, Ferté Senterre, książęta de Brissac i de Grammont oraz prezydent de Mesmes, a ze znakomitych cudzoziemców wykwintny książę Buckingham — umiała wybadać, poczem zanosiła kardynałowi arcypożyteczne wiadomości.

Panna Chemereaux, przezwana „la belle gueuse“ (piękna nędznica wzgl. nędzarka) również była na służbie u kardynała. Bardzo urodziwa, wesoła i gadatliwa, wkrótce potem wyszła za mąż za Basiniera, ale służby swej nie porzuciła. Szpiegostwo i intryga stały się jej namiętnością, bez której nie mogła żyć.

Mazarini, którego sumienie nie liczyło się z żadnymi „przesądami“ początkowo nie wpadł na myśl wykorzystania usług damskiego sztabu jako pierwszorzędnych wywiadowczyń, dlatego też w zaraniu swej świetnej karjery nie mało musiał znieść udręczeń i trudności. Piękne damy, psute przez Richelieu'go, ujrzały się nagle pozbawione kierownictwa polityki francuskiej i były oddane osobistej inicjatywie. Nie mogąc jednak poskromić w sobie skłonności do intryg, utworzyły „frondę i sabotaż“ i... doprowadzi.y państwo nad brzeg przepaści. Dopiero wtenczas Mazarini zorjentował się w sytuacji.

Zaczął więc od tego, że zaskarbił sobie przychylność pani de Maintenon, a następnie przez długi czas uporczywie ubiegał się o fawory panny de la Valière, ale, osobliwa rzecz, ta nowa faworyta królewska była, zdaje się jedyną kochanką, zgoła pozbawioną zmysłu i upodobania do intryg politycznych. Jak wiadomo, przez długi czas w sercu Ludwika XIV panowała prawie wszechwładnie Henryetta angielska, późniejsza księżna orleańska. Jej bezgraniczny wpływ na króla obudził w wyższych sferach powszechny niepokój. Wobec tego zawiązano przeciw niej spisek, którego duszą stał się kawaler de Lorraine. Był to prawdziwy genjusz intrygi, głęboki „politykoman“. Postanowił on przekonać króla, że Henryeta zdradza jego tajemnice, ale dlatego przedewszystkiem trzeba się było... wogóle dowiedzieć o owych tajemnicach. I oto umyślnie w tym celu rozkochał w sobie pannę Coëtcanne, a ona rozkochała w sobie Turenjuszą, tylko on jeden bowiem mógł znać owe tajemnice, powierzane mu przez samą Henryetę.

Taką więc drogą kawaler de Lorraine dowiedział się o planie przyszłej kampanji holenderskiej i doniósł królowi, że owa tajemnica została rozgłoszoną przez Henryetę.

Szpiegiem zgoła odmiennego rodzaju była pani de Mussy. I ową damę trawił żar politycznej intrygi, ale była ona prawdziwą patrjotką i intrygi jej są nawet do pewnego stopnia sympatyczne.

Rozkochana w hrabi d'Alère — tym samym, który miał w przyszłości posłużyć Teofila Gautier za prototyp bohatera swej powieści „Panna de Maupin“, i chcąc go zdobyć, spotkała poprzedniego swego kochanka, lorda Stanhope'a, dowodzącego w Hiszpanji angielskiemi i holenderskiemi wojskami. Było to podczas wojny o dziedzictwo hiszpańskiego tronu, w roku 1710. Wobec tego, że Stanhope zdradzał wybitną skłonność do ponownego wdania się z nią w amory, postanowiła ze względów patrjotycznych uwieść go i doprowadzić do zguby, jak niegdyś Dalila Samsona.

W tym celu zatrzymała go przy sobie w pewnem miasteczku, dając jednocześnie znać o tem marszałkowi Vendôme'owi, naczelnemu wodzowi sił francuskich, który też napadł znienacka na nieprzygotowanych Anglików. Podczas kiedy Stanhope ucztował z piękną panią de Mussy, miasto zostało wzięte szturmem przez Francuzów, a angielski Samson znalazł się niespodzianie w niewoli.

Inna instrygantka, panna Chausserée, brała nader czynny udział w polityczno-religijnych rozterkach w końcu XVII wieku. Jej to wyłącznie przypisać należy zasługę oddalenia od starego już wówczas Ludwika XIV Jezuitów, którzy zupełnie go opanowali, osobliwie zaś ojca Le Tellier'a, znakomitego spowiednika królewskiego. Ażeby móc zwalczyć tę potężną naówczas partję Jezuitów, trzeba było zdobyć się na zgoła nie tuzinkową odwagę, godną bądź co bądź podziwu u kobiety.

La Chausserée nie była nawet piękną. — Zdobyła króla swoją niezrównaną prostodusznością, w której nie było zresztą ani odrobiny naturalnej, szczerej prostoty, a tylko gra, ale zato pierwszorzędna.

Król był poprostu znudzony i zmęczony bezwstydnemi pochlebstwami dworaków, a szczerość i prostota miały dla niego czar niesłychany. Odczuła to i zrozumiała sprytna Chausserée i należycie potrafiła wykorzystać. Wiedząc, że arcybiskup paryski de Noailles był wrogiem Le Tellier'a, stanęła po stronie arcybiskupa, a śledząc bacznie królewskiego spowiednika, usposobiła źle dla niego króla w Paryżu, a papieża w Rzymie i był czas, że literalnie trzymała w rękach swych wszystkie nici religijno-politycznego życia ówczesnej Europy. W tych machinacjach czynną jej pomocnicą była Adelajda Shrewsbury, żona angielskiego posła w Paryżu. Owa to dama rządziła dyplomatami i świetnie umiała wydobywać od nich tajemnice, a jednocześnie ogałacać ich z pieniędzy. Jednym z wszechwładnych podówczas dostojników dworskich był Louvois, który był wybitnie „wrażliwy“ na wdzięki niewieście, nic też dziwnego, że otaczały go tłumy niewiast. On to żył jawnie z panią Dufresne, która znów jawnie w jego imieniu kupczyła dostojeństwami, rangami i posadami.

Niejaki Vileroc, człowiek ambitny i spragniony dobrego stanowiska, zawładnął sercem pięknej Sydonji de Coursèle i umiał ją „przekonać“, aby rozmiłowała w sobie kochliwego Louvois. Sam zaś Villeroi jednocześnie zręcznie udawał, że jest rozkochany zgoła w kim innym, a mianowicie w niejakiej pani de Monaco. Louvois, wiedząc, że Villeroi jest dobrym znajomym pani de Coursèle, ani przez chwilę nie podejrzewał sprytnie zawiązanej intrygi i sam prosił pana Villeroi, aby ułatwił mu zbliżenie do pani de Coursèle. Sprytny intrygant mógł następnie z łatwością zawładnąć wszystkiemi tajemnicami ministra, które mu się przydać mogły i dopiąć celu ambitnych swych pragnień.

Chociaż kobiety nie przeprowadzały same nigdy rewolucyj politycznych, to mimo to wpływ na powstawanie i rozwój ich był zawsze bardzo wybitny, co współczesne badania historyczne coraz lojalniej stwierdzają — nie ograniczając się wyłącznie do uwzględnienia roli mężczyzny, jako czynnika wyłącznie aktywnego i historjotwórczego.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU NA LITWIE 45 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 6 **Niedziela, 5 lutego 1939** **Rok V**



Fot. „AS"

Liczne podróże dyplomatów, mające na celu wyjaśnienie obecnej sytuacji europejskiej, grożącej w dalszym ciągu poważnemi komplikacjami, budzą każdorazowo silne echo w całym świecie. Do takich ważnych wizyt dyplomatycznych, należy podróż min. spraw zagr. Rzeszy niemieckiej Joachima von Ribbentropa do Warszawy. Po obradach z min. Beckiem, utrzymanych w serdecznym tonie, niemiecki dyplomata złożył wizytę Panu Prezydentowi R. P. oraz p. Marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi. Na zdjęciu min. von Ribbentrop w rozmowie z Marszałkiem Śmigłym-Rydzem.



GDYNIA

WIELKI PROBLEM POLSKI

Przyzwyczailiśmy się myśleć i pisać o Gdyni w lecie — to jest wtedy, gdy Gdynia staje się dla nas symbolem letniego, słonecznego morza, celem urlopowej włóczęgi.

I wówczas, na jawie, czy w marzeniach — widzimy na tle błękitnego morza białą Gdynię — wspaniały port, największy na Bałtyku, chlubę Rzeczypospolitej, nasze „okno na świat".

Pochłonięci niezaprzeczalnym urokiem portu, odurzeni ogromem włożonej tu energji, rozmachu i tempa rozbudowy, nie zawsze zastanawiamy się nad problemami Gdyni — nie tej na święto, na lato, lecz Gdyni portu i Gdyni miasta na codzień. Gdyni, która ma swoje poważne troski, trudne i kłopotliwe problemy do rozwiązania, swoją — wprawdzie krótką — lecz jakże już zawikłaną historję. Zajmijmy się tą sprawą — oczywiście w koniecznym skrócie — dzisiaj, z perspektywy... dalekiej od plaży, ale bliższej życiu.

Zdawałoby się, iż Gdynia — budowana na kompletnem niemal pustkowiu rozwijać się będzie bez specjalnych kłopotów, poprostu w myśl nowoczesnych zasad urbanistyki: że ustali się ogólny program planu zabudowania, przeprowadzi studja wstępne nad nim i przystąpi do budowy. Życie idzie jednak często naprzekór najbardziej mądrym zasadom teoretycznym. Gdyby rozwojem Gdyni kierowało nie — życie, ale owe urbanistyczne zasady, Gdynia — przy tym samym wysiłku i nakładzie byłaby dziś bezsprzecznie najpiękniejszem i najbardziej nowoczesnem miastem na świecie. Niestety tak się nie stało

Niema w tem zresztą niczyjej winy. W chwili, gdy poraz pierwszy wypowiedziano w Niepodległej Polsce słowo: Gdynia, nie mieliśmy jeszcze tradycji handlu morskiego i nikt, nawet wytrawny fachowiec nie mógł przewidzieć, iż Polska, kraj o czterech tysiącach km granic lądowych i zaledwie 10 km granicy morskiej, już zaledwie po piętnastu latach niepodległego bytu, przygniatającą większość swego importu i eksportu prowadzić będzie drogą nie lądową, lecz morską.

Myśl zbudowania własnego (poza Gdańskiem) portu na Bałtyku wyszła w r. 1920 nie ze sfer gospodarczych, lecz wyłącznie wojskowych. Dopiero rozwój wypadków na terenie Gdańska pomiędzy rokiem 1921—



Panorama części basenu węglowego w porcie gdyńskim. — Na lewo widoczny dworzec morski.



Fragment nowoczesnych hal targowych w Gdyni.

1923 wpłynął na postanowienie, by ów „podręczny" jakby port wojenny rozszerzyć i na port handlowy, lecz wciąż jeszcze w bardzo niewielkich rozmiarach. Dopiero lata 1925 i 1926 — to jest okres, gdy Gdynia port i Gdynia miasto były już w budowie, przyniosły dwa wydarzenia wielkiej wagi, gruntownie zmieniające pogląd na problem Gdyni. Te dwa wydarzenia, to — wojna celna z Niemcami (1925) i strajk węglowy w Angji (1926). Z wojny celnej niemieckiej wyciągnięto naukę, iż wszelki port stanowić może potężne narzędzie polityki handlowej państwa. Strajk angielski otworzył przed polskim eksportem niespodziewanie wspaniałe rynki zbytu, które należało zdobyć czemprędzej. W takiej sytuacji nie można się było

wahać. W piekielnem tempie wybudowano w Gdyni basen „węglowy", mimo że jego powstanie (ze względu na pośpiech budowano go na terenie najłatwiejszym) zniweczył dotychczasowy plan rozbudowy, i wywarł ujemny, nie dający się już odrobić, wpływ na dalszy rozwój miasta.

Ewolucja (nie portu, lecz poglądów na sprawę Gdyni!) nie jest jeszcze zakończona. O ile — jak powiedziałem wyżej — od r. 1926 uważaliśmy Gdynię za narzędzie polityki handlowej państwa, sądząc, że jest to już maksimum, czego wymagać będzie można od Gdyni, o tyle dzisiaj i te poglądy uważa się już za przestarzałe. Dziś jasnem się już stało, że Gdynia stać się musi jednym z poważniejszych w Europie punktów w handlu międzynarodowym, koncentrującym handel nietylko Polski, ale i całego „zaplecza" Rzeczypospolitej (Czechosłowacja, Węgry) a również państw bałtyckich.

Doskonałą ilustracją istniejącego stanu rzeczy będzie kilka cyfr odnoczących się do miasta: w roku 1926-tym, a więc już po owym przełomowym w dziejach Gdyni strajku angielskim, ówczesne Ministerstwo Robót Publ. opracowało nowy plan rozbudowy miasta, przewidując i obliczając jego maksymalny rozwój na... 60 tysięcy mieszkańców. Dziś, więc zaledwie 12 lat później, Gdynia liczy 115 tysięcy mieszkańców, i pod względem obszaru jest szóstem z największych miast Polski (po Warszawie, Poznaniu, Lwowie, a przed Łodzią, Krakowem, Katowicemi). Dzisiejszy obszar miasta Gdyni pomieścić może bez trudu... pół miljona mieszkańców!...

Operowania cyframi statystycznemi nie jest naogół... lubiane. Jeśli chodzi o Gdynię, są one jednak naprawdę rewelacyjne.

W roku 1920 obszar Gdyni zajmował 638 ha. Obecnie dziesięćkroć więcej — 6.580 ha. Warszawa... jest zaledwie dwukrotnie większa od Gdyni — posiada 12.800 ha! (Przez obszar Gdyni rozumie się ziemie leżące w granicach administracyjnych miasta, a więc łącznie z Orłowem, Redłowem, Chylonją etc.)

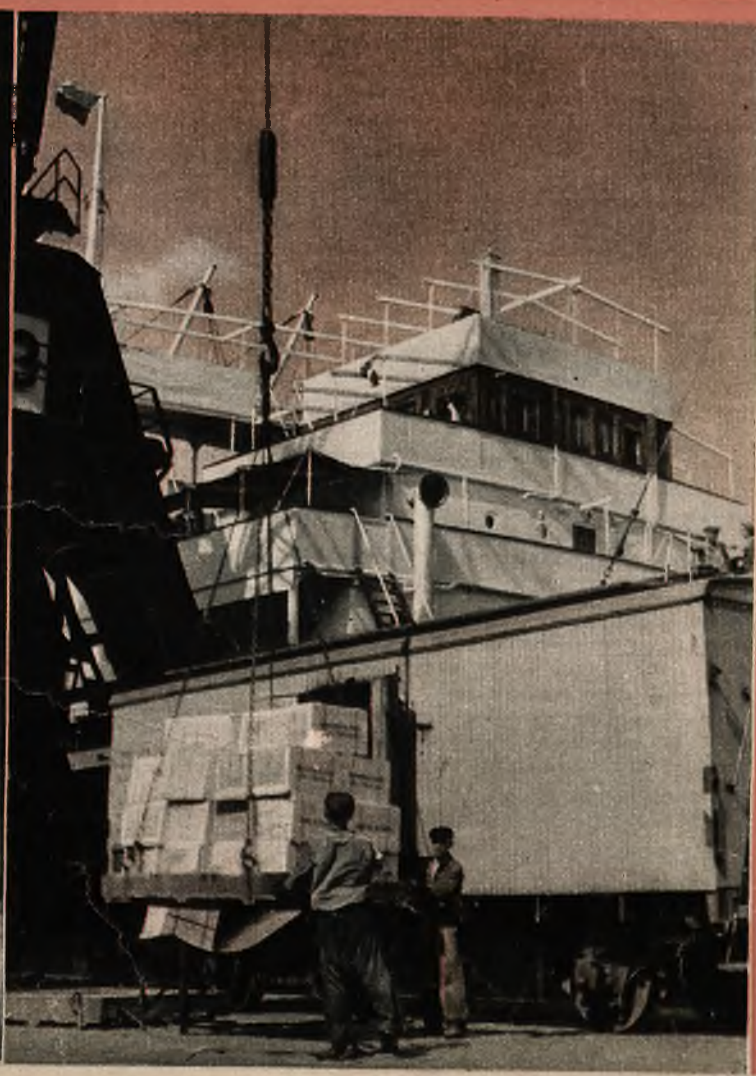
Gdynia stoi jednocześnie na pierwszem miejscu z miast polskich pod względem przyrostu naturalnego. Dla Polski przyrost naturalny wynosi 12 promille, dla Warszawy 3, Krakowa 2, dla Gdyni — 20 pro mille.



Na prawo: Monumentalny gmach sądu w Gdyni.

Poniżej: Gdynia, to rosnące w szalonem tempie i nawskroś nowoczesne miasto i port. Zarówno olbrzymie budowle w mieście, jak i wielkie przestrzenie zabudowanych i celowo zagospodarowanych nadbrzeży w porcie stwarzają perspektywy, przypominające swemi rozmiarami i rozmachem kolosy amerykańskie.







Molo południowe, które wraz z placem Kaszubskim i ul. 10 Lutego tworzy wielką arterję Gdyni Miasta — będzie w przyszłości stanowić główną oś dzielnicy reprezentacyjnej. W głębi na zdjęciu widoczne pierwsze gmachy, które zaprojektowano w tej dzielnicy.

Na tle opisanego wyżej podłoża polityczno-gospodarczego i warunków podyktowanych bez woli człowieka przez życie — jasnem się staje, iż rozwój Gdyni musiał napotkać i nadal spotykać będzie na poważne trudności i komplikacje.

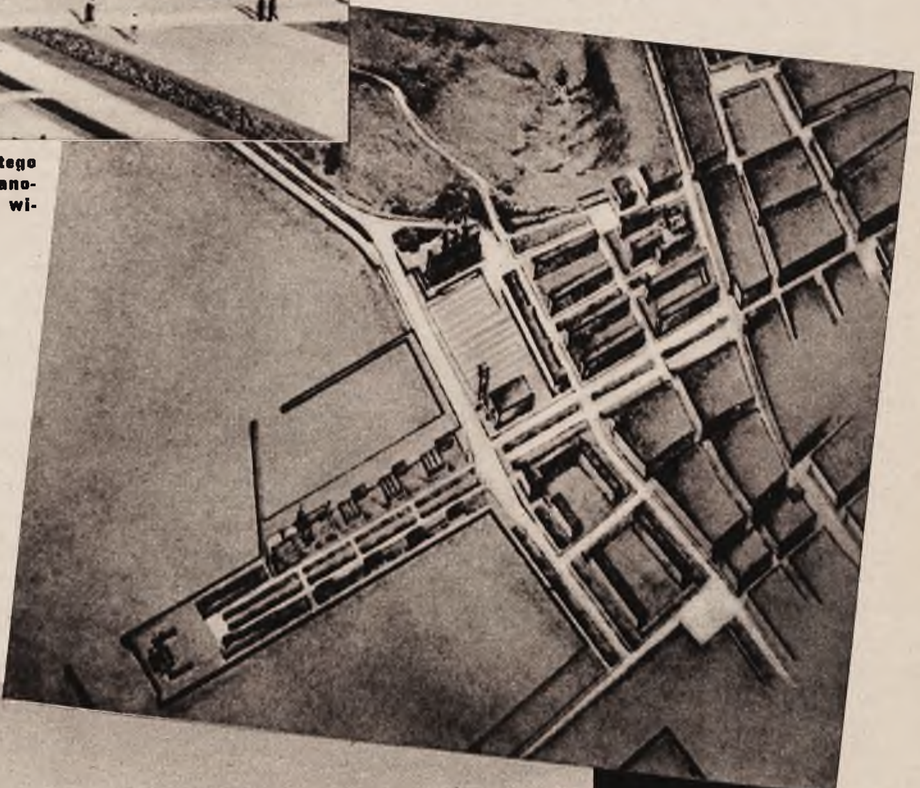
Musimy uważnie odróżniać — Gdynię port, od Gdyni-miasta.

Port gdyński ulokował się na terenach, które dają mu niemal nieograniczone pole rozwoju, a mianowicie w dolinie Chylonji, stanowiącej idealny teren dla najtańszego i najprostszego sposobu budowy basenów portowych, przez wykopywanie ich w ziemi. Chociaż najbardziej śmiałe projekty z pierwszych lat Gdyni obejmowały zaledwie niewielką część zbudowanego już dziś portu, to jednak ukształtowanie się doliny chylońskiej pozwalać będzie w dalszym ciągu na rozszerzanie obszaru portu w głąb kraju. W tym zatem zakresie Gdynia nie napotkała i nie będzie napotykać na przeszkody prawidłowego rozwoju.

Wielkie trudności spotykały jednak miasto. Według pierwotnych zamiarów port miał posiadać wyłącznie baseny i nadbrzeża wewnątrz lądu — na morzu zamierzano zbudować wyłącznie jeden basen „wejściowy". Pomiędzy tym „wjazdem" do portu, a leżącą na południe Kamienną Górą rozciągał się na poważnej długości 1,200 metrów brzeg morski, ponad którym postanowiono zbudować śródmieście miasta, harmonijnie rozplanowane i urbanistycznie związane z brzegiem. Wzgórze Kamiennej Góry poświęcono na letnisko. Biorąc pod uwagę, że według ówczesnych pojęć Gdynia miała się stać kilkunastotysięcznem prowincjonalnem miasteczkiem, nie obawiano się, by na terenie tym zabrakło miejsca dla dobrze rozplanowanego osiedla, mimo, iż równolegle do brzegu morskiego, dolinkę tę zamykało od strony lądu pasmo dość wysokich lesistych wzgórz (Lasy Chylońskie, 140 m n. p. m.) odciętych w dodatku od dolinki pasmem linji kolejowej). Gdyby wówczas przewidziano, iż miasto potrzebuje nie kilkuset, lecz tysięcy hektarów, zaprojektowanoby je niewątpliwie nie na południe od portu (tam gdzie dzisiaj się znajduje), lecz na północ, na idealnem dla takich celów płaskowzgórzu Kępy Oksywskiej, liczącem 5.000 ha obszaru.

Z biegiem czasu zjawiła się konieczność rozbudowy portu w szybszem tempie, zaczem powzięto decyzję stworzenia również zewnętrznych basenów, t. j. tych, które powstają przez budowę pomostów (molo) w głąb morza. Ponieważ na północ od owego „wjazdu" do portu znajduje się wysokie wzgórze Oksywskie, baseny zewnętrzne z konieczności zaprojektowano na południe, zabierając temsamem powstającemu miastu zrazu kilkaset metrów, potem cały kilometr brzegu morskiego, odsuwając miasto od morza, i niwecząc jego dotychczasowe założenia urbanistyczne.

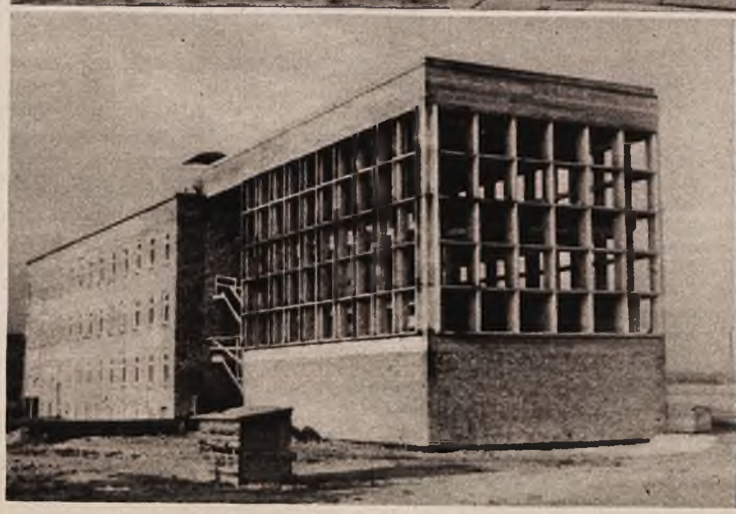
Założenie to było naprawdę piękne, i — gdyby je urzeczywistniono — Gdynia stałaby się wypieszczonem cackiem urbanistycznem. Podstawą owego nie urzeczywistnionego planu były dwie wielkie arterje: jedna





Powyżej: Plan dzielnicy reprezentacyjnej w Gdyni. — W środku widoczne forum, przy którem stanie bazylika i ratusz.

Na lewo: Dom Żeglarza przy basenie jachtowym jest jedną z pierwszych budowli monumentalnych, jakie staną w dzielnicy reprezentacyjnej Gdyni.



Na lewo: Również stacja morska na molo południowem należy do gmachów, których budowę w dzielnicy reprezentacyjnej już rozpoczęto.

aleja Mościckich, biegnąca prostopadle do brzegu morskiego od dworca kolejowego ku morzu, i druga, łącząca prosto szeroką aleją dworzec kolejowy z dworcem morskim. Aleja Mościckich miała się kończyć pięknym placem nadmorskim, obudowanym od strony morza spacerowymi bulwarami.

Budowa zewnętrznego basenu węglowego pociągnęła za sobą konieczność zabrania olbrzymich terenów, przeznaczonych początkowo dla miasta, pod tory kolejowe wielkiej rozdzielczej stacji towarowej. W rezultacie aleja Mościckich, pomyślana jako centralna ulica śródmieścia, znalazła się na granicy portu i miasta. Miastu, które — jeśli ma być symbolem złączenia kraju z morzem — musi architektonicznie wiązać się z brzegiem morza, pozostało dzisiaj już zaledwie.. sto metrów niezabudowanego urządzeniami portowemi wybrzeża pomiędzy najbardziej na południe wysuniętym basenem portowym a wzgórzem Kamiennej Góry.

Te sto metrów stanowi dziś wielką troskę nietylko architektów pracujących nad planowaniem Gdyni, ale również i najwyższych sfer decydujących państwa, interesujących się rozbudową Gdyni.

Chodzi tu o problem t. zw. „reprezentacyjnej" dzielnicy Gdyni, którą postanowiono zbudować taką, by tworzyła całość o głębokiej wartości i symbolice, by przetrwawszy długie pokolenia stanowiła wyraz polskich aspiracji morskich, gospodarczych i państwowych" [1]) Zadanie to jest niezwykle trudne do rozwiązania, zwłaszcza, że wchodzi tu w rachubę jeszcze kwestja umiejscowienia Bazyliki morskiej, jaka ma powstać w Gdyni. Bazylikę tę postanowiono początkowo zbudować na Kamiennej Górze, skąd panowałaby nad miastem, portem i polskiem morzem, dając zarówno wspaniały efekt widokowy, jak i pełnię głębokiego symbolu. W czasie ostatnich narad nad tym problemem, prowadzonych pod przewodnictwem p. wicepremjera Kwiatkowskiego, przy współudziale Pana Prezydenta R. P. skłaniamo się do ewentualności ulokowania bazyliki raczej na poziomie miasta. Rezygnuje się w ten sposób z walorów widokowych i symbolu „panowania" bazyliki nad miastem, na korzyść bardziej harmonijnego powiązania bazyliki z dzielnicą „reprezentacyjną", a przez to podkreślenia symbolu połączenia się ziem polskich z morzem.

Dalszymi zasadniczymi punktami dzielnicy „reprezentacyjnej" będą: Forum przeznaczone na uroczystości morskie, ratusz i szereg gmachów monumentalnych, zbudowanych wzdłuż Mola Południowego. Molo to kończyć się ma potężnym akcentem w postaci pomnika Zjednoczenia Ziem Polskich.

Molo Południowe zbudowane na osi ulicy 10 Lutego i pięknego Skweru Kościuszki. Pierwsze dwa gmachy z serji owych monumentalnych są już w budowie. W ten sposób powstaje nowa główna arterja Gdyni, rozpoczynająca się przy Dworcu Kolejowym, a kończąca na projektowanym Pomniku Zjednoczenia, oś, która połączy potężnym urbanistycznem założeniem miasto z brzegiem — a symbolicznie, kraj — z polskiem morzem.

Jest wiele jeszcze poważnych zagadnień urbanistycznych, z któremi porają się architekci. Najważniejsze z nich, to budowa nowych dzielnic mieszkalnych miasta na okolicznych wzgórzach — pomiędzy śródmieściem a Orłowem, na wzgórzach Chylońskich, które dziesięć lat temu miały stanowić granice miasta, a dziś stają się oazami pięknych will i ogrodów. Wielką wagę przywiązuje się też do tanich mieszkań robotniczych. Powstają całe kolonje domów wzorowych, nowych, czystych, wypierających systematycznie prowizoryczne drewniane baraki robotników portowych.

W ten sposób tworzy się wielki organizm miasta, na który złożą się harmonijnie powiązane — miasto biur i handlu, miasto pracy, i miasto — symbol.

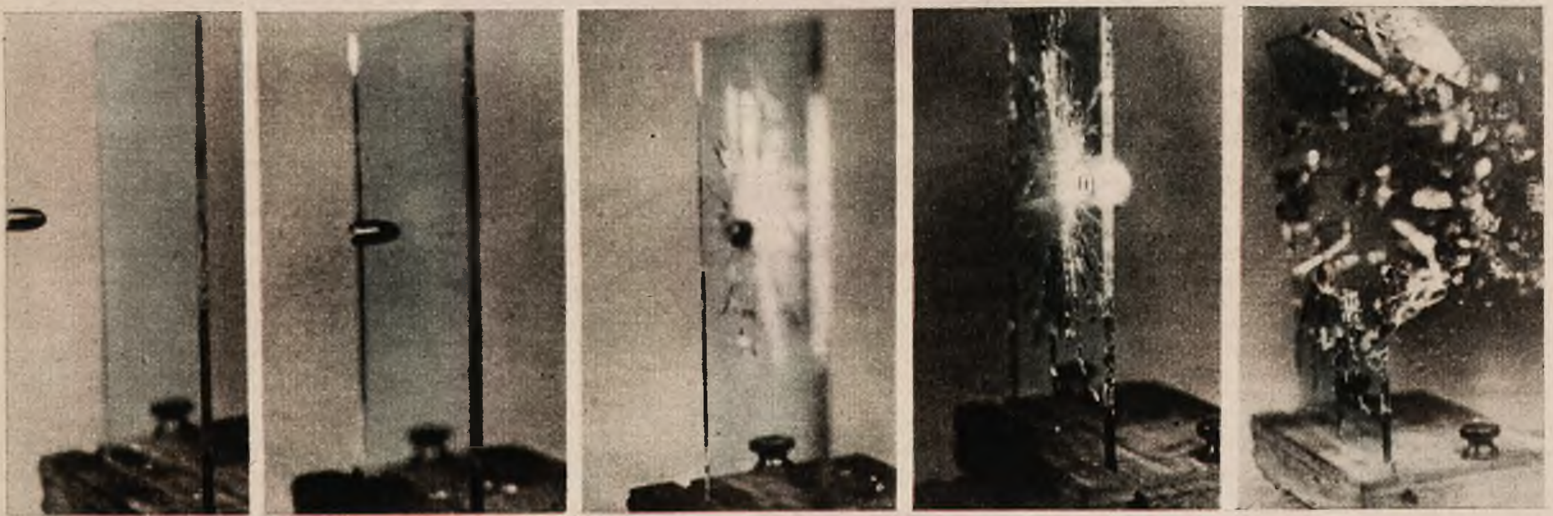
Na krańcach owych gigantycznych, realizowanych w szybkiem tempie planów zarysowuje się nowy problem, nowe olbrzymie zagadnienie urbanistyczne i komunikacyjne Gdyni — jako miasta przemysłu.

Jest nie do pomyślenia, by mógł istnieć port i wielkie miasto portowe bez przemysłu i dzielnicy przemysłowej.

Są to projekty dziś jeszcze dalekie i niezbyt wyraźne, a dla wielu niemal utopijne, dla ludzi zaś morza i mieszkańców Gdyni — zrozumiałe i zupełnie realne.

Mgr. Roman Burzyński.

OBJEKTYW SZUKA TEMATÓW



Oto niezwykle ciekawe zdjęcie, przedstawiające nam poszczególne fazy biegu kuli, która z szybkością 300 m. na sekundę przebija szklaną szybę.

Zaledwie 100 lat minęło od wiekopomnego wynalazku fotografji. Właściwe odkrycie fotografji zawdzięczamy dwom Francuzom: Józefowi Niceforowi Niepce'owi i Ludwikowi Daguerre'owi. W dniu 7 stycznia 1839 r. świat dowiedział się oficjalnie z posiedzenia Francuskiej Akademji Nauk o narodzinach „daguerotypji", jak ówcześnie nazwano nowo wynalezioną sztukę od nazwiska jednego z odkrywców.

Niema niemal żadnej dziedziny życia współczesnego, któraby mogła obejść się bez fotografji. Cała kinematografja o tak powszechnem znaczeniu oparta jest na wynalazku fotografji.

Jakżeż inaczej wyglądają dzisiejsze fotografje w porównaniu z temi, które spoglądają na nas z pożółkłych kart starych albumów. Najtańszym aparatem wykonywujemy zdjęcia z ręki, naświetlając kliszę czy film przez drobny tylko ułamek sekundy. Inaczej wyglądały aparaty w początkach istnienia fotografji, czas naświetlania trwał pierwotnie całe niemal godziny, a przez długi okres czasu nie można było marzyć o zdejmowaniu bez solidnego statywu fotograficznego.

Specjalnie skonstruowane aparaty pozwalają nam już nawet na zdejmowanie wystrzelonej kuli pistoletowej czy karabinowej. Dzięki tym urządzeniom budowanym zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, możemy obserwować fazy ruchu niezmiernie krótkie, bo liczące zaledwie 1/100.000 sekundy. Dzięki tak skonstruowanym kamerom możemy obserwować różne zmiany zachodzące np. w stopach metali pod wpływem różnych czynników, a zwłaszcza działań mechanicznych, co posiada niezmiernie doniosłe znaczenie w technice.

Ostatnio najbardziej ulepszony typ kamery dla zdjęć niezmiernie krótkich został zbudowany przez prof. Harolda Edgertona i Fredericka E. Barstowa w Technologicznym Instytucie w Massachusetts. Pozwala on wygodnie obserwować poszczególne fazy pękania tafli szklanej pod uderzeniem wystrzelonej kuli. Okazało się, że szybkość, z jaką rozszerzają się spękania w szkle wynosi zawrotną wartość około 1 km na sekundę. Przy pomocy zdjęć wykonanych takim aparatem można również stwierdzić, że spękania rozchodzą się promienisto naokoło miejsca uderzenia, co świadczy o jednostajnej szybkości rozchodzenia się zmian w szkle.

Wynalazek z przed 100 lat odsłoni nam jeszcze niejedną tajemnicę budowy materji i otaczającego nas świata m.

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ



ŚLUB W ARYSTOKRACJI

★

Goście weselni zgromadzeni w Pałacu hr. Potockich. Od lewe widoczni: hr. z Esterhazych Mycielska, ks. Szembek, który Młode Parze udzielił ślubu, wicemin. hr. Szembek, hr. Franciszkowa Potocka, Państwo Młodzi, matka pana młodego, hr. z Mycielskich Morsztynowa, w drugim rzędzie stoją: hr. Pelagja Potocka, brat pana młodego, hr. Franciszek Potocki (za panem młodym), ks. rektor Michalski, J. K. W. Cecylja de Bourbon-Siciles, z domu ks. Lubomirska.



Fragment ceremonji ślubnej w kościele OO. Dominikanów.

Pałac hr. Franciszkostwa Potockich przy ul. Brackiej 2, odgrywa w Krakowie podwójną rolę. Raz jako jeden z najpiękniej zachowanych zabytkowych „hôtels particuliers", którego stylowa architektura harmonizuje artystycznie z dekorowanemi i urządzonemi wnętrzami, po drugie zaś jako najżywszy ośrodek towarzyskiego i kulturalnego życia Krakowa. Stara, bo z XVII w. datująca, a w końcu ośmnastego stulecia przebudowana fasada dawnego pałacu Wiśniowieckich, nie odgradza jego mieszkańców od życia miasta chińskim murem kastowych uprzedzeń czy arystokratycznej „splendid isolation". Salony na Brackiej słyną prawdziwie staropolską gościnnością i raz po raz gromadzą w swych pięknych ramach szerokie sfery towarzyskie Krakowa.

Dlatego też ślub starszej córki hr. Franciszkostwa Potockich stał się dla Krakowa uroczystem wydarzeniem, nietylko ściśle prywatną rodzinną uroczystością dwóch polskich rodów: Potockich i Mycielskich z Wiśniowej.

Ślub ten odbył się w końcu stycznia. W wilję ślubu matka pana młodego i jego wuj, wiceminister hr. Szembek, wydali w pięknych salonach pałacu hr. Pusłowskich raut, który zgromadził liczną rodzinę i przyjaciół Państwa Młodych. Obrzęd ślubny odbył się o godzinie pół do dwunastej w południe w kościele OO. Dominikanów. Pannę młodą w pięknej tualecie z białego atłasu i w welonie ze starych koronek prowadził do ołtarza ojciec, hr. Franciszek Potocki, pana młodego — matka, hr. Mycielska. W orszaku ślubnym zauważyliśmy:



Jeden z salonów pałacu hr. Potockich.

Wiceministra hr. Szembeka, hr. Henryka Potockiego, hr. Stanisławowstwa Potockich, hr. Ignacową Potocką, rodzeństwo Panny Młodej hr. Pelagję i hr. Konstantego Potockich, hr. Morsztynową z córką, ks. Cecylję Gabrjelową de Bourbon-Siciles z domu ks. Lubomirską, hr. Ksawerego Pusłowskiego, hr. Franciszkostwą Mycielskich, hr. Janostwa Mycielskich, X. rektora Michalskiego, hr. Krzysztofostwa Morsztynów i w. in.

Po uroczystości zaślubin odbyło się w pałacu hr. Potockich na Brackiej śniadanie. Wytwornie nakryty stół zdobiły piękne stylowe puhary, misy i figurki zwierząt ze srebra, augsburskiej i gdańskiej roboty z 18 wieku. Po lunchu w salonach na Brackiej zgromadziło się liczne grono gości, wśród których zauważyliśmy między innemi pp. prez. Kaplickich, ks. Pawłową Sapieżynę z córką Elżbietą, hr. Rostworowską z synami, bar. Ludwikostwa Puszetów, hr. Ksawerostwa



Na lewo: Młoda para

Pruszyńskich, pp. Franciszkostwa Górskich, p. Michałowską, hr. de Veaux, prof. U. J. Wacława Lednickiego, hr. Edwarda Tyszkiewicza z córką p Cerchową, profesorostwa Jachimeckich, prof. Estreicherową z synem Karolem, ks. Władysława Lubomirskiego z córką, p. Wiesł. Goreckich i innych.

Metamorfozy węgla.



Najśmielsza fantazja utopisty nie potrafiłaby wymyśleć tego wszystkiego, co stworzyła nowoczesna chemja. I to w czasie wcale nie tak długim. Sto lat wystarczyło, aby z tego, co dawniej przez wieki całe wydane było na łaskę i niełaskę rozmaitych poszukiwaczy „kamienia mądrości", alchemików, wydrwigroszów w mniejszym lub większym stopniu, wytworzyła się najważniejsza gałąź wiedzy przyrodniczej, będąca zarazem podstawą olbrzymiego przemysłu. To, czego dokonał przemysł chemiczny w tak krótkim czasie, jest naprawdę czemś niespotykanem w dotychczasowych dziejach cywilizacji. Dzisiaj niepodobna wprost już wyobrazić sobie życia bez zdobyczy chemji. Tkaniny nasze barwione są barwikami syntetycznymi, obuwie coraz częściej garbowane jest garbnikami sztucznymi, nasze kosmetyki są wytworem czysto chemicznym. Zażywamy lekarstw, które przeważnie są wyrobami przemysłu chemicznego. Ba, nawet nasz chleb jest teraz zależny od zdobyczy chemji. Przecież nawozy sztuczne umożliwiły dopiero zwiększenie wydajności roli i wyżywienie większej ilości ludności, aniżeli to kiedykolwiek uważano za możliwe. Coraz bardziej rozpowszechniają się sztuczne masy plastyczne, wyroby z galalitu, bakelitu, sztuczny róg, niełamliwe szkło itp. Nawet taki wynalazek, jak kino byłby niemożliwy, gdyby chemja nie dostarczyła materjału na film w postaci celuloidu. A co powiedzieć o sztucznych włóknach, które dzisiaj nie stanowią już żadnego surogatu, tylko stały się czemś niezbędnem dla dzisiejszego człowieka? Coraz trudniej też sobie wyobrazić rozwój automobilizmu, lotnictwa bez sztucznej benzyny, do której niewątpliwie należy przyszłość, wobec nieuchronnego wyczerpania się źródeł naftowych, co jest przecież kwestją tylko lat kilkudziesięciu, jeśli nie mniej. A lekkie metale i ich stopy, np. elektron, duralumin i jak się one wszystkie nazywają, to przecież produkt technologji chemicznej. Wobec coraz większego braku rud żelaznych, a obfitości związków magnezu i glinu w skorupie ziemskiej — do nich należy przyszłość. Nie poruszaliśmy wcale dziedziny środków wybuchowych. Każdy jednak przyznać musi, że chemja zmieniła zasadniczo warunki dzisiejszej wojny. Jeśli wreszcie dojdziemy do zdobyczy ostatnich lat, to taka rzecz jak sztuczny kauczuk jest nielada wyczynem chemicznym. Jak sprawa obecnie wygląda nie zanosi się wcale na jakiś kres tej aktywności chemików. W pracowniach chemicznych całego świata wre praca. Nie wiadomo jeszcze, co nam przyniosą najbliższe lata, zwłaszcza wobec wzrostu tendencji autarkicznych. Dążność do uniezależnienia się od dowozu zagranicznego, ciągły niepokój i niepewność jutra, które trapią dzisiejsze społeczeństwa, stanowią jeden z najważniejszych bodźców pracy chemików. Chodzi o to, aby na wypadek wojny, której obawa nurtuje wszystkich, móc obejść się bez surowców i towarów zagranicznych i móc istnieć i przetrwać o własnych siłach. Jednym z takich wynalazków z punktu widzenia chemicznego bardzo ciekawych, a wyrosłych na tle autarkizmu, jest wynalazek wyrobu tłuszczów z węgla. Właściwie na świecie jest obecnie nadmiar tanich tłuszczów. Cóż z tego, kiedy światowe zapasy nie są równomiernie rozdzielone i istnieją liczne kraje, pozbawione kolonji i skazane na dowóz tłuszczu. Polska np. musi sprowadzać rocznie 40.000 tonn tłuszczu. Ma to oczywiście duży wpływ na bilans płatniczy. Cóż więc dziwnego, że zainteresowanie dla fabrykacji tłuszczów z innych dostępnych materjałów wyjściowych jest w tychże krajach bardzo wielkie. Mamy u nas coprawda dość tłuszczów jadalnych, ale grozi nam brak tłuszczów dla celów technicznych. Największa stosunkowo ilość tłuszczów idzie na wyrób mydła. Zagadnienie sprowadza się zatem w znacznej mierze do kwestji wyrobu mydła z tłuszczów sztucznych.

Zachodzi tu ciekawy zbieg okoliczności, ilustrujący doskonale jakiemi drogami chadza dzisiaj rozwój nauki i przemysłu. W przewidywaniu braku środków napędowych zajęto się gorliwie w Niemczech sprawą wytwarzania sztucznej benzyny. Najważniejszym surowcem w tym zakresie jest węgiel. Zagadnienie to zostało właściwie rozwiązane pozytywnie. Niemcy w znacznej mierze używają już dzisiaj sztucznej benzyny. Tak się złożyło, że przy fabrykacji tejże benzyny według jednej z najbardziej rozpowszechnionych metod, t. zw. metody Fischera-Tropscha, otrzymuje się jako produkt uboczny około 7 proc. parafiny. Cóż zrobić z tą parafiną? Czy nie dałoby się jej jakoś zużyć pożytecznie, przetworzyć na coś innego.? Chemikom tylko w to graj! Medytowali, myśleli, aż wkońcu wymyślili, że z tej parafiny mogą być wcale niezłe tłuszcze. Popisali formuły chemiczne i przekonali się, że t. zw. budowa chemiczna parafiny jest bardzo podobna do budowy tłuszczów. Że tam trzeba tylko coś niecoś przestawić, czegoś dodać, nieco ująć i z parafiny zrobi się tłuszcz. Nie będziemy tu naszych Czytelników nudzić szczegółowym opisem tego procesu. Ale kilka słów warto o tem powiedzieć i zapoznać się, jakiemi to sposobami dzisiejsza chemja przetwarza jeden materjał na drugi, mniej potrzebny na bardziej pożądany.

Jeśli się chemika zapytamy, co to jest tłuszcz, to nam odpowie: Tłuszcze są to glicerydy, czyli mówiąc zrozumialszym językiem, związek chemiczny znanej powszechnie gliceryny z t. zw. kwasem tłuszczowym. Takim kwasem tłuszczowym jest np. stearyna, oleina, palmityna itd. Jeśli taki kwas tłuszczowy łączy się zamiast z gliceryną z taką np. sodą lub potażem, to powstają mydła. Widzimy już z tego, jak blisko spowinowacone są mydła z tłuszczami. Ale te kwasy tłuszczowe są także dość bliskimi powinowatymi wspomnianej już parafiny. Właściwie biorąc sumarycznie drobina parafiny różni się od drobiny kwasu tłuszczowego tem, że kwas tłuszczowy zawiera w sobie także i tlen, a parafina jest czystym węglowodorem, czyli związkiem węgla i wodoru. Co więc należy uczynić? Dodać do takiej parafiny trochę tlenu, innemi słowy utlenić ją a dostaniemy już kwas tłuszczowy, a z tego kwasu tłuszczowego możemy już otrzymać mydło, jeśli go połączymy ze sodą, albo też tłuszcz jeśli go połączymy z gliceryną. Oto możliwie najkrócej przedstawiony cały plan działania, który rzeczywiście został zrealizowany. Fabrykacja tłuszczów z parafiny odbywa się właśnie na wspomnianej drodze. Początkowo nie chciano nawet wierzyć, że coś podobnego się uda. Przecież nazwa parafiny pochodzi od łacińskiego „parum affinis", czyli „mało pokrewny", co oznacza innemi słowy, że parafina niechętnie się wdaje w stosunki z innemi chemikaljami i mało jest na nie wrażliwa.

A jednak już kilkadziesiąt lat temu chemik Grün udowodnił, że parafinę można połączyć z tlenem, przepuszczając przez roztopioną parafinę powietrze, będące jak wiadomo najtańszym źródłem tlenu. Dopiero jednak w ostatnich latach metoda ta została udoskonalona. Musiano tutaj wybadać, na jaką temperaturę trzeba parafinę ogrzać, ile tego powietrza przepuszczać, jak długo ma trwać ta procedura itp. szczegóły, mające jednak decydujący wpływ na wynik całego działania. Bo trzeba pamiętać, że wyżej naszkicowaliśmy tylko jeden z wielu możliwych skutków łączenia się tlenu z parafiną. Parafina może się łączyć z tlenem nietylko dając kwas tłuszczowy, może dać też cały szereg innych produktów utleniania, bardzo niepożądanych o odrażającym zapachu i niezdatnych ani do wyrobu mydła ani do wyrobu tłuszczów. Musi się więc wszystko tak poprowadzić, aby tych niepożądanych, ubocznych produktów powstało jaknajmniej. Tu właśnie tkwi przeważnie największa tajemnica fabrykacji. Bo to decyduje ostatecznie o opłacalności całego procesu. Nie będziemy tutaj przytaczali szczegółów, ale powiedzmy jeszcze, że po przeprowadzeniu procesu utleniania pozostaje jeszcze dość znaczna ilość parafiny nieutlenionej. Tę parafinę oddziela się w ten sposób, że się wszystko razem łączy ze sodą, przyczem z powstałych kwasów tłuszczowych tworzy się, jak już powiedziano, mydło, zaś parafina pozostaje niezmieniona. Teraz to już stosunkowo łatwiej oddzielić parafinę od ługu mydlanego. Przeważnie robi się to zapomocą destylacji, ogrzewając wszystko do około 400 stopni. Usuniętą parafinę bynajmniej się nie wyrzuca, tylko używa się jej nanowo do następnego procesu utleniania. Pozostały roztwór mydlany jest jeszcze bardzo zanieczyszczony. Ażeby go oczyścić musi się go zpowrotem rozłożyć na kwas tłuszczowy, a to przez traktowanie go kwasem siarkowym. W ten sposób otrzymuje się surowe kwasy tłuszczowe, które następnie jeszcze się dalej

Dokończenie na str. 31-ej.



TARRAGONA: ostatnio przez wojska generała Franco zdobyte prastare miasto posiada wspaniałą gotycką katedrę, której budowę rozpoczęto po wypędzeniu Maurów w roku 1118. Architektura tej wspaniałej świątyni nie ustępuje w niczem ani słynnej katedrze w Reims, ani też Notre Dame, ani katedrze kolońskiej.



NATURA
pierwszy inżynier świata

A więc zdobyliśmy świat! Opasany żelaznemi obręczami szyn, znosi cierpliwie szybko mknące pociągi. Wżarci szybami kopalń, drążymy jego wnętrze. Byliśmy na dnach oceanów, byliśmy w niedostępnej stratosferze. Maszyny liczą za nas, mówią, pracują. Ale wróćmy szybko, przeskoczmy setki lat, by cofnąć się do czasów pierwotnego człowieka, by ujrzeć pierwociny jego kultury. Krok za krokiem śledźmy jego zmagania się z przyrodą, jak ciężkim młotem wykuwał siedliska skalne, przedzierał się wyżej, by ujrzeć światło, rwał gąszcz leśny, by zdobyć słońce i coraz doskonalszy, potężniejszy szedł naprzód. Zobaczymy wtedy, że przyroda była natchnieniem i pierwszym nauczycielem człowieka.

Ona, nieubłagana, sroga, grożąca kłami dzikich zwierząt, oślepiająca błyskawicami, niszcząca ogniem, wodą, mrozem i posuchą, niosła pierwszemu człowiekowi nie tylko śmierć, ale i życie. Bo i jakże mogły się rodzić w czaszce małpoluda jaskiniowego błyski genjuszu? Skąd kiełkowało w nim człowieczeństwo i rozum? Dzikus podpatrywał przyrodę, poznawał jej tajniki i uczył się wykorzystywać je dla swych korzyści. — Przyroda była bowiem pierwszym inżynierem i artystą. Niema zdaje się praw fizycznych, niema wynalazków, których pierwowzoru nie odnaleźlibyśmy w przyrodzie. Takim zdumiewającym zbiornikiem jest świat istot niższych. Możemy być zdumieni widząc, że ledwo widzialny gołem okiem jakiś wymoczek wykorzystuje do poruszenia się prawa fizyki, nad któremi człowiek głowił się setki lat, nim je odkrył i zużytkował dla swych celów. Wszyscy zapewne znamy młynek Segnera, działający na zasadzie III-go prawa Newtona. Zasadę młynka Segnera znają ważki, żyjące w wodzie. Przez energiczny skurcz mięśni wyrzuca żyjątko strumień wody przez otwór w tylnym końcu odwłoka. Wynikiem tego jest ruch ciała zwierzątka w przeciwnym kierunku. Niedostrzegalne gołem okiem wrotki posiadają różnego rodzaju swoiste narządy ruchu, przypominające śruby okrętowe. Są to przeważnie wyrostki silnie owłosione, które przez ciągły ruch nowy powodują poruszanie się zwierzątka. Wiele pluskwiaków wodnych wyzyskuje właściwości fizyczne powierzchni cieczy, ślizgając się po niej jak po elastycznej, napiętej błonce, uginającej się pod ich ciężarem. Odnóża tych zwierzątek opatrzone są w krótkie włoski, do których woda nie przylega, dzięki czemu błonka powierzchniowa się nie przerywa. Malutki oczlik, którego długość ciała zaledwie wynosi 1 mm, może wykonywać olbrzymie skoki, podczas których szybkość ruchu przekracza 10 cm na sekundę. Proporcjonalnie do wielkości człowieka średniego wzrostu, szybkość ta wyniosłaby przeszło 550 km na godzinę, czyli taka, jaką posiadają nasze najszybsze samoloty — przyczem musimy uwzględnić znaczny opór wody. W świecie roślinnym nie brak również przykładów zastosowania różnych praw fizyki. Kwiat lepkiej szałwi posiada misterną dźwignię, która służy do zapylania przez owady. Szukające miodu pszczoły lub osy siadają na wystającej dźwigni, która pod ciężarem owada przeważa się i powoduje wysunięcie pręcików o które ociera się owad. Nasiona roślin wiatropylnych opatrzone są w skrzydełka, które są prawzorem śmigi samolotowej. — Konstrukcja traw i trzcin, łącząca w sobie wytrzymałość z niezrównaną elastycznością, nie została dotąd przez człowieka sztucznie odtworzone. Niektóre rośliny i zwierzęta posiadają zdolność przewidywania zmian pogody. Człowiek od niepamiętnych czasów umiał te zjawiska podpatrywać i wykorzystywać dla siebie. „Kogut pieje na zmianę" mówimy często. Turyści obserwują zmianę koloru u ślimaków i wyciągają stąd wnioski o pogodzie. Jaskółki na deszcz latają nisko, szukając przy ziemi owadów, które wrażliwe są na ciśnienie powietrza i opadają ku ziemi.



Nasiona kwiatów wiatropylnych zaopatrzone są w skrzydełka, które przypominają łudząco śmigła.

W świecie zwierzęcym spotkamy się z zadziwiającemi zdolnościami budowniczemi. Budowle termitów, pszczół i mrówek zadziwiają swoją trwałością i pomysłowością. — Nieustępują im gniazda ptaków, ziemne nory zwierząt i budowle bobrów. Badaniu budowli termitów poświęciło się wielu uczonych. Najwyższe, bo do 6 metrów wysokości, a półtora metra średnicy u podstawy mające budynki wznoszą termity australskie. Są to istne wieże, niezwykle trwałe, odporne na deszcz, zimno, wysokie temperatury i uderzenia. Wnętrze gniazda podzielone jest na cały system komór, korytarzy i kominów. Te ostatnie wystają w górze i tworzą sprawnie działającą wentylację, co konieczne jest przy tak gęsto zaludnionych gniazdach. Niemniej ciekawe są budowle mrówek, pszczół i ós.

Prawdziwym inżynierem wodnym jest bóbr, którego zdolności w budowaniu tam rzecznych i gniazd są powszechnie znane. Budowle swe wznoszą bobry według ściśle przewidzianych planów, robota jest sprawnie zorganizowana i prowadzona systematycznie. Tama budowana jest bardzo starannie z drzewa i mułu z pomocą wszystkich bobrów. Obserwując pracę zwierząt, widać zmysł i rozum, który łączy te zwierzęta w pracy i doprowadza do tak wspaniałych rezultatów.

Przyroda nie tylko jest budowniczym, fizykiem, meteorologiem, ale i chemikiem. — W otaczającym nas świecie dokonują się przecież ciągłe przemiany chemiczne. Substancje, jakie potrafią wytwarzać bakterje, są człowiekowi zupełnie nieznane a proces asymilacji u roślin, którego wynikiem jest cukier i skrobia, mimo ciągłych badań, jest człowiekowi jeszcze okryty tajemnicą. — Wreszcie nie zapominajmy, że przyroda jest lekarzem. Nasza wiedza lekarska jest oparta na naukowych badaniach i obserwacjach. Nieraz po żmudnych badaniach dochodzimy do odkryć, które jednak są znane zwierzętom. U zwierząt jest to dar instynktowny, odziedziczony w darze od natury. Zwierzęta umieją wyszukać dla siebie odpowiednie zioła, któremi leczą żołądek. Przykładem może być pies, który nie znając się na botanice, ani nie czytając książki ks. Kneippa, potrafi znaleźć dla siebie na łące odpowiednią trawę. Wszystkie zwierzęta znaia również dobrodziejstwo




Bóbr buduje swoje „domy" z drzewa podobnie, jak ludzie pierwotni, których budowle ukazały wykopaliska w Biskupinie.

dzaj namiotu lub chatki, niekiedy na 60 centymetrów wysokiej; pokrycie zrobione jest z gałązek storczyków, które zwisają aż do ziemi, rozchodząc się promienisto, symetrycznie od środkowej podpory. Na tem leży stożkowata warstwa mchu i osłania galerję okolną. Jedna strona tego namiotu jest otwarta i przed nią ułożony niby gazon z mchu zielonego, przybranego kwiatami i jagodami najjaskrawszemi. Gdy ozdoby te zwiędną, ptak składa je na kupkę za namiotem i zastępuje je innemi, świeżemi".

Dalszym przykładem mogą być wspaniałe upierzenia samców w świecie ptaków. Upierzenie ma zachwycić i olśnić wybrankę: dowodzi to, że samica odczuwa piękno i im piękniej jest „ubrany" tem większe na niej robi wrażenie. Przykładów takich możnaby przytoczyć bardzo dużo, — a dowodzą one, że przyroda jest źródłem, z którego można w nieskończoność czerpać siły, by wytrwale dążyć do doskonałości.

Inż. Władysław Müller.

słońca i nie ominą żadnej okazji, by wygrzać się w jego promieniach.

Powiedzieliśmy że przyroda była również pierwszym artystą, pierwszem natchnieniem pierwotnego człowieka. Ktoś powiedział, że chciałby napisać powieść równie piękną jak dywan perski. To pochwała dla subtelnych i zda się zupełnie nierealnych barw i wzorów tych cudnych tkanin. Trzeba jednak dodać, że prawie wszystkie twory artystyczne człowieka, które nas zachwycają i wzbijają w dumę, możemy rozłożyć na pewne części, na pewne motywy, które są żywcem wzięte z świata kwiatów, zwierząt i minerałów. — Ornamentyka w rzeźbie i malarstwie bezpośrednio kopjuje przyrodę nie siląc się nawet na przetwarzanie. — Ale przyroda jest też nieprzebranym skarbcem kształtów i barw. Nic więc dziwnego, że człowiek szukał w przyrodzie wzorów i natchnienia. Jeszcze więcej artyzmu kryje w sobie fauna i flora mórz: puszyste kobierce przedziwnych kwiatów o intensywnych barwach chryzantem lub astrów. Wszystkich odcieni korale, gąbki, a wśród nich mienią się wszystkiemi kolorami tęczy wstężnice, pierścienice, liljowce, rozgwiazdy, jeżowce i miljony innych istot zamieszkujących morze od powierzchni aż het do niedostępnych głębin. — Jeszcze bardziej nierealny świat, świat idealnego piękna, odkrywa nam mikroskop. Im więcej powiększa, tem więcej odszukujemy subtelnych wzorów, nieuchwytnych deseni, mglistych linji: — jest to piękno poprostu nie kończące się. Obserwując zwyczaje niektórych zwierząt, możnaby zaryzykować twierdzenie, że piękno w przyrodzie nie jest dziełem przypadku, — że jest świadomem dążeniem do doskonałości. A dążenie to zaszczepia przyroda bez wyjątku wszystkim żyjącym istotom. Takim klasycznym przykładem poczucia artystycznego u zwierząt jest ptak altanik. Znany przyrodnik Cornish tak opisuje gniazdo altanika: „W samej architekturze altany widać nie tylko oryginalność i pomysłowość, ale nawet pewne zamiłowanie tego ptaka w pięknie, rzadkie w świecie zwierząt... Altanik ten buduje u stóp małego drzewa ro-




Kopce termitów zbudowane są tak doskonałą techniką, jakby je wznieśli inżynierowie — twórcy drapaczy chmur w Nowym Jorku.

Kłamstwo konwencjonalne



— Żona pańska jest bardzo chora, to prawda ale niema niebezpieczeństwa...



— Cóż dziwnego, że przegrałem, skoro od dwóch tygodni nie miałem rakiety w rękach!...

— Wyjdź za niego, moje dziecko, on będzie cię nosił na rękach!...





— Niestety, pani dyrektorowo, pan dyrektor ma teraz bardzo ważną konferencję...



— Bierz przykład ze swojego ojca! W twoim wieku byłem najlepszym uczniem w klasie!...



— Proszę panów, biorę zato pełną odpowiedzialność!



— Zapewniam panią dobrodziejkę, że to jest najlepszy odkurzacz na świecie!



— Tak niską cenę za ten paryski model liczymy tylko pani... ale proszę nas nie zdradzić!



— Czy to dobry materjał? Ach proszę pana, jeszcze za pięć lat będzie nam pan dziękował!...

Życie składa się z kompromisów: niestety, aż nazbyt często musimy je zawierać z własnem sumieniem. Gdy chodzi o rzeczy poważne — powstają głębokie konflikty, a nawet tragedje.

W sprawach mniejszego znaczenia potrafimy łatwo się rozgrzeszyć, i przebaczyć sobie pewne niezgodności z sumieniem. Do kategorji tych drobnych przestępstw można zaliczyć — kłamstwa konwencjonalne. Kłamstwa zrozumiałe same przez się, które nikogo nie zdziwią, ani nie zgorszą, gdy się „wysypią". W pewnych okolicznościach niepodobna nie skłamać. Są to kłamstwa, będące wyrazem dobrego wychowania, kłamstwa poczciwe, niekiedy wprost dobroczynne i szlachetne.

Czy pamiętacie owego zacnego biskupa z „Nędzników", który skłamał, iż Janowi Valjean darował świeczniki, — aby uratować go przed więzieniem? Czy można robić sobie wyrzuty, że popełniło się takie kłamstwo? Oczywiście — nasze codzienne kłamstewka konwencjonalne mają o wiele mniejszy ciężar gatunkowy, lecz niewątpliwie są niekiedy poczciwe.

Gdy lekarz pociesza stroskanego małżonka, że jego obłożnie chora córka wyzdrowieje, choć sam niebardzo w to wierzy, postępuje bardzo humanitarnie. Nawet, gdy ktoś na widok dawno nie widzianej, a bardzo postarzałej znajomej, zawoła: „och, pani dobrodziejka wygląda coraz młodziej!" — popełnia kłamstwo, za które można go pochwalić...

Gdy ktoś na wizycie, chociaż djabelnie zgłodniały, siada do stołu z niedbałą miną i sięga wolno, bardzo wolno, do półmiska, bo tak nakazuje dobre wychowanie, właściwie popełnia konwencjonalne kłamstwo.

Gdy ktoś obojętnie spogląda na wypłacane mu pieniądze, na które dawno i z niecierpliwością oczekiwał — kłamie.

Kłamstwo jest najpopularniejszym grzechem. Tak popularnym, że stało się właściwie zaletą, jeśli jest umiejętnie i w stosownym momencie „podane".

— Pamiętaj, nie kłam nigdy, moje dziecko! — mówi ojciec do synka.

A za chwilę, gdy rozlegnie się dzwonek, woła:

— Jeżeli to państwo Ygrekowscy, to nas niema w domu!

Ktoś powie: oburzające! demoralizowanie dziecka! Bynajmniej! Poprostu rodzice chłopczyka wybierali się właśnie na wizytę, a państwo Ygrekowscy są nudziarze i siedzieliby napewno kilka godzin.

Najwięcej kłamstw konwencjonalnych popełniamy, reklamując jakiś towar. Tym towarem, zresztą, niekiedy bywamy sami.

— Będę cię nosił na rękach — zapewnia zachęcająco młody człowiek swą ukochaną, chociaż jest drobny, szczupły i słaby, a jego ukochana jest krzepko zbudowaną, wysoką dziewczyną.

Ale — „reklama jest dźwignią handlu".

W każdej reklamie wyolbrzymia się cechy dodatnie propagowanego „artykułu" względnie metodą negowania — pomniejsza się zalety wyrobów konkurencyjnej firmy.

— „Mydło „Przepiórka jest najlepsze!" — głosi reklama.

Albo:

Dokończenie na str. 31-ej.



Poniżej: Fragment ceremonjału ślubnego, który odbył się w obecności 3000 gości w kaplicy Paulińskiej król. pałacu w Rzymie.



Poniżej: Po ślubie Ojciec św. przyjął książęcą parę na audjencji. Na zdjęciu młoda para opuszcza apartamenty watykańskie.

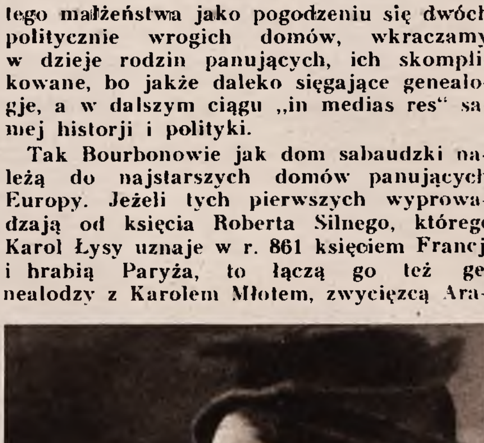


Dnia 23 stycznia odbyła się w kaplicy paulińskiej królewskiego pałacu w Kwirynale w Rzymie ceremonja zaślubin najmłodszej córki króla włoskiego i cesarza Abisynji, Wiktora Emanuela III, Marji sabaudzkiej z księciem Ludwikiem de Bourbon-Parma, synem panującego księcia Roberta i ks. Marji Antoni Braganza, infantki portugalskiej. Jeżeli zwykle w małżeństwach dynastycznych bierze się pod uwagę cele polityczne i majątkowe, to tym razem na pierwszy plan wysuwa się uroda i młodość młodej pary. Ale i cele polityczne, tak przynajmniej twierdzi część prasy, nie są obce małżeństwu: w zamiarach państw totalistycznych leży obsadzenie tronu hiszpańskiego przez osobę związaną blisko z Włochami... Ale również z innego znów punktu widzenia oceniano ten związek: od czasu zaboru księstwa Parmy, w której panowali do r. 1860 Bourbonowie z linji hiszpańskiej, przez królestwo Sardyńskie, oba domy panujące sabaudzki i bourboński unikały rzecz prosta, nie tylko związków rodzinnych, ale wogóle były sobie wrogie. Przecież w imieniu ojca ks. Roberta, będącego wtedy małoletnim, matka jego ogłosiła formalny protest przeciwko zaborowi, najostrzej go piętnując.

Tak więc i to małżeństwo, jakkolwiek zawarte z miłości i niezwykle dobrze dobrane, ma oddźwięk polityczny... Jest to przywilejem, choć raczej „privilegium odiosum" jak zwie go prawo rzymskie, każdej osoby pochodzącej z panującego domu: rodzinne lub czysto intymne sprawy urastają tu do rozmiarów zagadnień państwowych, uczucia poddane są krytyce nie kilku osób a całych narodów, uczynki komentowane szeroko i brane pod uwagę jako zapowiedź aktów państwowych. Inna panuje tu atmosfera, inny klimat psychiczny; nic dziwnego, że rodziny wzrosłe na tej płaszczyźnie życiowej inaczej odczuwają i działają jak „zwykły śmiertelnik".

Przypomniawszy o historycznej ważności tego małżeństwa jako pogodzeniu się dwóch politycznie wrogich domów, wkraczamy w dzieje rodzin panujących, ich skomplikowane, bo jakże daleko sięgające genealogje, a w dalszym ciągu „in medias res" samej historji i polityki.

Tak Bourbonowie jak dom sabaudzki należą do najstarszych domów panujących Europy. Jeżeli tych pierwszych wyprowadzają od księcia Roberta Silnego, którego Karol Łysy uznaje w r. 861 księciem Francji i hrabią Paryża, to łączą go też genealodzy z Karolem Młotem, zwycięzcą Arabów pod Tours i Potiers, przez osobę jego brata Childebranda, który miał być pradziadkiem Roberta. Dalsze genealogiczne wznoszenie się po szczeblach pokoleń w górę, zaprowadzi nas do Priariusa, króla Franków żyjącego w r. 381! Ale nie starajmy się udowodnić tego wywodu: gdybyśmy chcieli olśnić czytelników starością rasy, moglibyśmy też zacytować wywód cesarza Franciszka I. Stefana, męża Marji Teresy, z domu ks. Lotaryńskich, który przez rodziny Gonzagów mantuańskich, tych samych zresztą, z których pochodziła nasza królowa, żona Jana Kazimierza, następnie przez dom Montferrat, panujący dom serbski, przez Komnenów rządzących nad Trapezuntem, a dalej przez dom panujący Gruzji, da się wyprowadzić w prostej linji od Szapora I. króla perskiego zmarłego w r. 272 po Chr., kóry znów ze swej strony był potomkiem słynnych Sassanidów, Arszakidów i innych dynastyj azjatyckich. O ile te genealogje dadzą się naukowo udowodnić, o tyle inna, nie mniej a bodaj że jeszcze bardziej zadziwiająca i będące „pièce unique" tego rodzaju ciekawostek, opiera się, prawdopodobnie, na... dobrej wierze samej rodziny. Znana w Austrji rodzina Marenzi, nosząca tytuł margrabiów di Val Oliola, hrabiów Tagliuno i Talgate, baronów von Marenzfeldt und Scheneck, chce pochodzić w prostej linji od brata Juljusza Cezara, stawiając tem samem wszystkie domy panujące w cień! Jak widzieliśmy poprzednio na genealogji rzymskiego cesarza Karola I. Stefana, wszystkie domy panujące są ze sobą spokrewnione: idzie to tak daleko, że nawet z panującym domem tureckim, osmańskim, istnieją węzły pokrewieństwa dynastyj europejskich. I co jest ciekawsze: domy panujące zachowują pamięć tych aljansów, orjentują się w tym lesie nazwisk, imion, dat i wydarzeń histo-



Król Wiktor Emanuel III. wraz z córką ks. Marją przygląda się meczowi piłki nożnej.



J. K. W. ks. Ludwik de Bourbon-Parma z małżonką J. K. W. ks. Marją sabaudzką.

rycznych. Na ten temat przypomina się ciekawy „passus" pamiętników księżnej d'Abrantès, żony jednego z najdzielniejszych napoleońskich jenerałów Junota. Księżna, z domu panna de Permon, była daleką krewną Napoleona I., ale aby dojść do tego pokrewieństwa, trzeba wspomnieć o naówczas lansowanej i popieranej częściowo dokumentarnie hipotezie, że dom Bonapartych pochodzi od cesarzy bizantyńskich z domu Komnenów, z których jeden, wypędzony wskutek wydarzeń politycznych z Bizancjum, osiadł w południowych Włoszech z garstką emigrantów greckich, nad którymi sprawował rządy, jako niezależny prawie suweren. Nazwiskiem ich ówczesnem miało być „Kalomeros", które zostało przetłómaczone na Bonaparte. Gdy otóż księżna d'Abrantès, już po upadku Napoleona zjawiła się pewnego razu u Ludwika XVIII. na audjencji, wspomniała, że przecież Bonapartowie są krewnymi Bourbonów. Mogła sobie na tę uwagę pozwolić księżna, która widocznie bardzo była „versée" w tych sprawach, skoro je zresztą tak detalicznie opisuje w swych pamiętnikach, ale człowiek mniej w tem biegły, byłby się zgubił w jej rozumowaniu. — Tymczasem, jak się okazało, Ludwik XVIII. znając tradycję Bonapartych, przytaknął jej, przypominając jeszcze, że przecież pokrewieństwo to opiera się na małżeństwie Agnieszki francuskiej, córki Ludwika VII z Aleksym II. Komnenem, cesarzem konstantynopolitańskim. Tak więc małżeństwo w XII wieku, było zdaniem króla tytułem do... pokrewieństwa! Drobny ten epizod świadczy jaskrawo o zagęszczeniu się „atmosfery rodzinnej" w domach panujących i tem samem o ich wspólnych tendencjach.

Raz po raz, jak zresztą w każdej sferze, zdarzają się w domach panujących „outsiderzy", osoby nie należące ściśle biorąc do grona wybranych tego świata. Przez ciągłe koligacenie się dynastyj stają się oni, bardzo szybko, przodkami wszystkich następnych pokoleń. Tak było też z Leszczyńskimi, Sobieskimi, tak wkońcu z Bonapartymi i Krasińskimi. Dziwnym zbiegiem okoliczności oboje państwo młodzi pochodzą po Polakach! Ze strony panny młodej spotykamy rodzinę Krasińskich, ze strony pana młodego Leszczyńskich. Historja małżeństwa Ludwika XV. z piękną „Marie Leczinska" jak ją mimo wszystko nazywają Francuzi, trzymając się uporczywie dziwacznej ortografji, jest bardziej znana: z listy obejmującej 17 nazwisk, wśród których zresztą nie było nazwiska Marji, król nie mógł wybrać kandydatkę na żonę. Dopiero na drugiej liście obejmującej 4 nazwiska, zjawia się imię Leszczyńskiej. Król Stanisław, mieszkający wtedy w Wissembourg, przyjmuje wysłannika króla p. de Merville bardzo serdecznie, i wkrótce dwór wersalski otrzymuje entuzjastyczny raport jego na temat zalet księżniczki. Dalszy ciąg jest znany: z początku wielkie wzajemne przywiązanie i miłość, następnie liczne zdrady krola itd. Tak Leszczyńscy, starodawny dom magnacki, sięgający swymi początkami XIV. wieku, nadany w wieku XV. tytułem Sancti Romani Imperii hrabiów na Lesznie, wchodzi w rodzinę Bourbonów, a przez nich w większości katolickich domów panujących płynie krew Opalińskich, (żony króla Stanisława, Katarzyny), Jabłonowskich, (matki króla — Anny, kasztelanki krakowskiej), Radziwiłłów, (babki króla Joanny Katarzyny), Radzimińskich, (prababki króla — Anny itd.

Leszczyńska nie była z punktu widzenia zwyczajów i tradycji dworskich bynajmniej mezaljansem: jej ojciec był przecież, chociaż krótko, królem, a to decydowało, starość domu Leszczyńskich, nie była w tym wypadku atutem. Drugie natomiast małżeństwo, któremu królewski dom sabaudzki zawdzięcza swą praprababkę, żonę księcia sabaudzkiego Karola, było, niesłusznie zresztą z polskiego prawnego punktu widzenia, uważane za mezaljans. Możny, prastary, przez panegirystów od rzymskich Corvinów względnie węgierskich Korwinów, wyprowadzany dom na Krasnem Krasińskich, mający duże znaczenie nietylko na Mazowszu, ale w całej Polsce, wydał w swej linji sandomierskiej dzielnego męża, Stanisława Krasińskiego, starostę nowomiejskiego, gorliwego stronnika Stanisława Leszczyńskiego, z którym zresztą przez Szembeków (prababką Krasińskiego była Szembekówna, a Ewa i Anna Leszczyńskie z linji młodszej Leszczyńskich były za dwoma Szembekami, Janem i Aleksandrem), który z żony Anieli Humieckiej, z bogatej kresowej rodziny, pozostawił cztery córki. Czwartą z nich i najpiękniejszą była Franciszka: wyszła ona zamąż 9 marca r. 1766 za syna króla Augusta III królewicza Karola saskiego, księcia kurlandzkiego, który jednak wskutek naporu Rosji stracił wkrótce swój mitawski tron, by ustąpić go faworytowi carowej. Franciszka Krasińska wraź z swym krewnym biskupem Adamem, gorliwa sojuszniczka konfederacji barskiej, nie była szczęśliwa w małżeństwie, chociaż bardzo kochała swego małżonka. Gdyby ks. Karol miał więcej wytrwałości i gdyby Polska ówczesna nie była rozdarta walką wewnętrzną, możeby oboje stali się parą królewską, któraby zyskała sobie popularność i miłość u poddanych. Faktem jest, że sejm w r. 1776 uznał ją za królewnę i obdarzył pensją, a jak wiemy, sejm czteroletni uznał dom saski za dziedzica polskiej korony. Niestety wszystkie te plany rozwiały się z upadkiem kraju, a dopiero księstwo warszawskie przypomniało sobie o Fryderyku Auguście saskim, czyniąc go swym władcą. Jedyną córką księstwa saskich była Marja Krystyna saska, ur. 1779, która poślubiła ks. Karola Emanuela de Savoie-Carignan, synem ich zaś był król Karol-Albert-Amadeusz, wnukiem zaś Wiktor Emanuel II, oswobodziciel i zjednoczyciel Włoch, który w r. 1860 zajął dziedzictwo Bourbonów — Parmę. I tak, po wielu generacjach niejednokrotnie ze sobą skoligacone domy Krasińskich i Leszczyńskich znów połączyły się w swych prawnukach.

Jan Maleszewski.



Ludwik XV. i królowa Marja Leszczyńska w otoczeniu swych dzieci. U góry widoczne herby pary królewskiej, u dołu herb następcy tronu z symbolicznym delfinem. — (Według współczesnego sztychu z Muzeum XX. Czartoryskich).



Franciszka z Krasnego Krasińska, małżonka królewicza polskiego Karola, ks. Kurlandji, (w-g litografji z Muzeum XX. Czartoryskich).

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI

TAJFUN

NOWELA

Upał był nieznośny! Lśniące słońcem wody zatoki Kahoolawe nie marszczył najlżejszy podmuch wiatru. Nawet wiatr od gór Heelakale, który w najgorętsze dnie ochładzał zrodzonym wśród szczytów oddechem, dziś zamarł w kotlinach górskich strumyków. Lepkie powietrze pokrywało ciało strużkami potu.

Za purpurowemi rafami, zamykającemi zatokę też nie było przewiewu. Dym z małego parowca transportowego kładł się brudną chmurą na błyszczące jak srebrna blacha morze.

Stary stateczek, usunięty przez Pacific Star Line z ważniejszych dróg na obsługę kilku małych wysepek, był jedynym łącznikiem wyspy Kohualea ze światem. Raz na miesiąc podpływał do czerwonych raf i wymieniał pocztę z łódeczką miejscowego urzędu. W ten sposób list rzucony na kontynencie „już" po 3—4 miesiącach znajdował się w rękach adresata na wyspie Kohualea i na wielu podobnych wyspach, zagubionego wśród Oceanu archipelagu. Zresztą dla mieszkańców tych wysp szybkość dowozu poczty była najzupełniej obojętna. Odcięci od świata żyli własnem życiem, nie oczekując wiadomości ani odwiedzin. Niemałe też było zdziwienie kierującego łódką starego „kanaka"[1], kiedy ze statku zszedł po chwiejącej się drabince do jeszcze mniej pewnej łódki biały człowiek — „haole" i bez słowa usiadł na paczce z pocztą. Zagadnięty przez kanaka wskazał tylko ręką na brzeg i milczał zatopiony w myślach, podczas gdy łódka wypływała z ciemnych kłębów dymu. Odpłynęli od statku o kilka set yardów i gdy łódka zaczęła wykonywać niespodziewane zwroty dla wyminięcia raf, biały zapytał: „Wiesz gdzie mieszka pastor Stanwel?" Wioślarz nie odwracając oczu od wąskich przesmyków między rafami, odrzekł skwapliwie: „To panie, wie każde dziecko Kohualea, wszyscy znają dobrego haole!".

Chwilę płynęli w milczeniu, a kiedy łódka wypłynęła na bezpieczne wody zatoki, kanak wskazał ręką wyniosłą grupę drzew niedaleko od przystani:

— Tam pod drzewami algaroba jest bungalow białego pastora.

Gdy przybili do brzegu, wioślarz pochwycił jakiegoś wyrostka i gestykulując, kazał zaprowadzić nowoprzybyłego do bungalowu pastora.

Biały powoli, jakby niechętnie wysiadł z łódki, wygrzebał z kieszeni srebrną monetę i rzucił ją wioślarzowi, popatrzył na horyzont, z poza którego wypełzały ołowiane macki chmur i poszedł ociężale za chłopcem odzianym w barwne „malo"[2]).

Wybrzeże było zasłane odłamanemi gałęźmi, a gdzieniegdzie drogę zagradzał zwalony pień palmy, albo rozłożystego drzewa „hau". Wyrwy w piasku świadczyły o tem, że gościły tu i fale morskie.

— Był zły, bardzo zły i mocny wiatr „kona", powyrywał drzewa i wpędził zatokę aż do chat wioski — wyjaśniał przewodnik, przełażąc przez jeden z leżących wpoprzek ścieżki pni.

Nowoprzybyły nie odpowiadał, ale młody tubylec niezrażony mówił dalej:

— Wiatr rozbił wiele chat kanaka, a fale porwały świnie grubego Kumuhana i starej pake[1]), co sprzedaje tkaniny-tapa i maty.

Kilka kroków przeszli w milczeniu i znowu odezwał się przewodnik:

— A niedobry wiatr „kona" znowu idzie z czarnemi chmurami i przed nocą powywraca nowe chaty i porwie nowe świnie... a może nawet i paru kanaka — dokończył z przekonaniem.

Dochodzili już do gaju drzew algaroba. W cieniu werandy niskiego bungalowu siedział w leżaku, potężnej budowy, siwowłosy mężczyzna. Twarz rumiana i gładka, jak u młodego chłopca pełna była zadowolenia i spokoju. Tak spokojną i zadowoloną twarz mogą mieć tylko ludzie, którzy są w zupełnej zgodzie ze swojem sumieniem. Pastor Stanwel trzymał w ręku książkę, ale jej nie czytał, tylko pogrążony w rozmyślaniach, patrzył na płonące purpurą kwiaty hibiskusu, którego krzewy tworzyły barwny żywopłot.

Nawet skrzypienie żwiru pod krokami nowoprzybyłego nie wyrwało pastora z zadumy i dopiero kiedy cień przybysza padł na książkę i ręce, ocknął się, zamrugał ze zdziwienia oczyma, przyglądnął się nowoprzybyłemu z niedowierzaniem i wreszcie zerwał się z okrzykiem radości:

— Roskoe! Roskoe! przyjacielu, jak się cieszę, że ciebie widzę, ileż to lat minęło od naszego rozstania... chyba ze 25!

Ściskał przybyłego i wykrzykiwał słowa powitania.

— Chodź przyjacielu do mego domku, zjedz co i odpocznij po podróży, pewnie przyjechałeś tą starą i niewygodną pocztową łupiną?

Pastor pochwycił Roskoego pod ramię i prowadził go do wnętrza domu. Nie pytał o cel wizyty, choć mogła się wydać dziwną po tylu latach niewidzenia i choć pytanie miał na ustach, przesiąknięty zwyczajami gościnnego archipelagu, przed poczęstunkiem nie pytał przybysza, co go sprowadza.

Usiedli przy szerokim stole, a dwie wahine[2]) przyniosły korzenie taro i przyprawione rybki opilji na płytkich miseczkach. Pastor, przebywając od wielu lat wśród tubylców wziął od nich zwyczaje i sposób życia, jedynemi odznakami jego pochodzenia było białe, flanelowe ubranie, szafy z książkami i barometr, nawet skóra upodobniła się do przesyconej słońcem cery wyspiarzy. Mówiąc po angielsku raz po raz wtykał słowa narzecza miejscowego.

Teraz, kiedy Roskoe jadł, pastor zabawiał go wspomnieniami z dawnych młodzieńczych lat, kiedy to byli nieodłącznymi przyjaciółmi, nim życie ich rozdzieliło. Mówiąc, przypatrywał się pilnie gościowi. Lata wyryły głębokie ślady na beztroskiej przedtem twarzy, oczy straciły blask, a cała niegdyś imponująca postać pochyliła się i jakby zmalała. Krucze włosy pokryły się szronem siwizny.

— Tyle lat — mówił pastor — tyle lat minęło od czasu, gdy wybraliśmy się „po złote runo" na wyspy Pacyfiku... Ty obiecywałeś sobie wydostać z mroku wód wszystkie perły oceanu, a ja chciałem dusze wyspiarzy wyprowadzić do słońca wiary, a Jonson... prawda był jeszcze „genjalny Jonson"! Co się stało z najzdolniejszym i najambitniejszym z nas, z Jonsonem, którego...

— Stanwel — przerwał nagle ostro Roskoe — przyjechałem tu do ciebie, żeby szukać oparcia, ratunku, żeby otworzyć przed tobą serce! zrzucić nieznośny ciężar tajemnicy, która w dzień nie daje mi zająć się żadną pracą, wprowadza w stan ogłuszenia a nocą spędza sen z powiek!... Przyjechałem wyspowiadać się przed tobą...

Zaskoczony wybuchem przyjaciela, pastor siedział chwilę nieruchomo, mrugając powiekami, jakby nagle padł na jego oczy snop jaskrawego światła...

— Przyjacielu — odezwał się po chwili — mój stan kapłański nakazuje mi wysłuchiwać wynurzeń strapionych serc i nieść pomoc cierpiącym... Mów! a jak tylko to będzie w mojej mocy, służę ci radą i oparciem. — Swemi łagodnemi oczyma o mrugających powiekach wpatrywał się w zmienione cierpieniem rysy przyjaciela, który zdawał się zbierać i porządkować zdarzenia, nim je wypowie.

Przez otwarte okno wpadł nagły poryw wiatru i wstrząsnął drewnianemi okiennicami. Pastor bezwiednie spojrzał na niebo, na którego grantowem tle ołowiane i krwawe chmury układały się we wspaniały wachlarz.

— Nadciąga tajfun — pomyślał — trzeba zamknąć okiennice... ale nie wstał od stołu, tylko pochylił się ku Roskoemu...

— Właściwie to bezpośrednim powodem tragedji — zaczął wreszcie przybyły — był „paunoa", stary naszyjnik z zębów rekina, który moja żona bardzo lubiła i nigdy się z nim nie rozstawała...

— Nie wiedziałem, że się ożeniłeś — przerwał pastor — rozstaliśmy się jako 20-letni chłopcy i po kilku latach przerwaliśmy korespondencję. Nie znam więc dalszych kolei twego życia.

— Prawda, prawda! Znałeś mnie jeszcze jako biednego młodzieńca, którego jedynem bogactwem były śmiałe plany... Zamierzenia moje prędko się spełniły. Szczęście mi nadzwyczajnie sprzyjało. Jak w cudownej baśni każde moje życzenie, każda myśl urzeczywistniały się. W krótkim czasie doszedłem do majątku, zyskałem rozgłos jako najlepszy znawca pereł na archipelagu, zbudowałem w Haleeiva przepiękny bungalow i wkrótce wprowadziłem do niego moją żonę, najpiękniejszą wahine, jaką widziały wyspy Pacyfiku.

Poznałem ją podczas święta łowienia palolo[1]). W blasku pochodni oczy jej błyszczały radością i uniesieniem, a skończenie piękne ciało przystrojone leisami[2]) z kwiatów ponciany, gięło się w upajającej hula[3]).

Stare instrumenty zawodziły świąteczną pule[4]), krąg ucztujących z zachwytem uderzał w dłonie, a ona tańczyła i tańczyła bez zmęczenia. Dawno już jej rówieśnice ustąpiły z tanecznego kręgu... flety-ukukei zawodziły coraz piskliwiej i monotonniej. Nagle stary rybak, stojący nad zatoką, dał znak, że księżyc wschodzi i nadszedł czas łowów. Brązowi biesiadnicy z krzykiem rzucili się do łodzi i wkrótce miejsce po ucztcie zupełnie opustoszało...

[1]) kanak — tubylec.
[2]) malo — opaska wokół bioder.

[1]) pake — chinka w narzeczu wyspiarzy
[2]) wahine — kobieta.

[1]) palolo — żyjątko morskie, przysmak wysp Pacyfiku.
[2]) leisy — wieńce z kwiatów.
[3]) hula — taniec.
[4]) pule — pieśń.

Dokończenie na str. 24.



ZIMA

Szczyt Gu-
ałówki
widokiem
a łańcuch
Tatr.

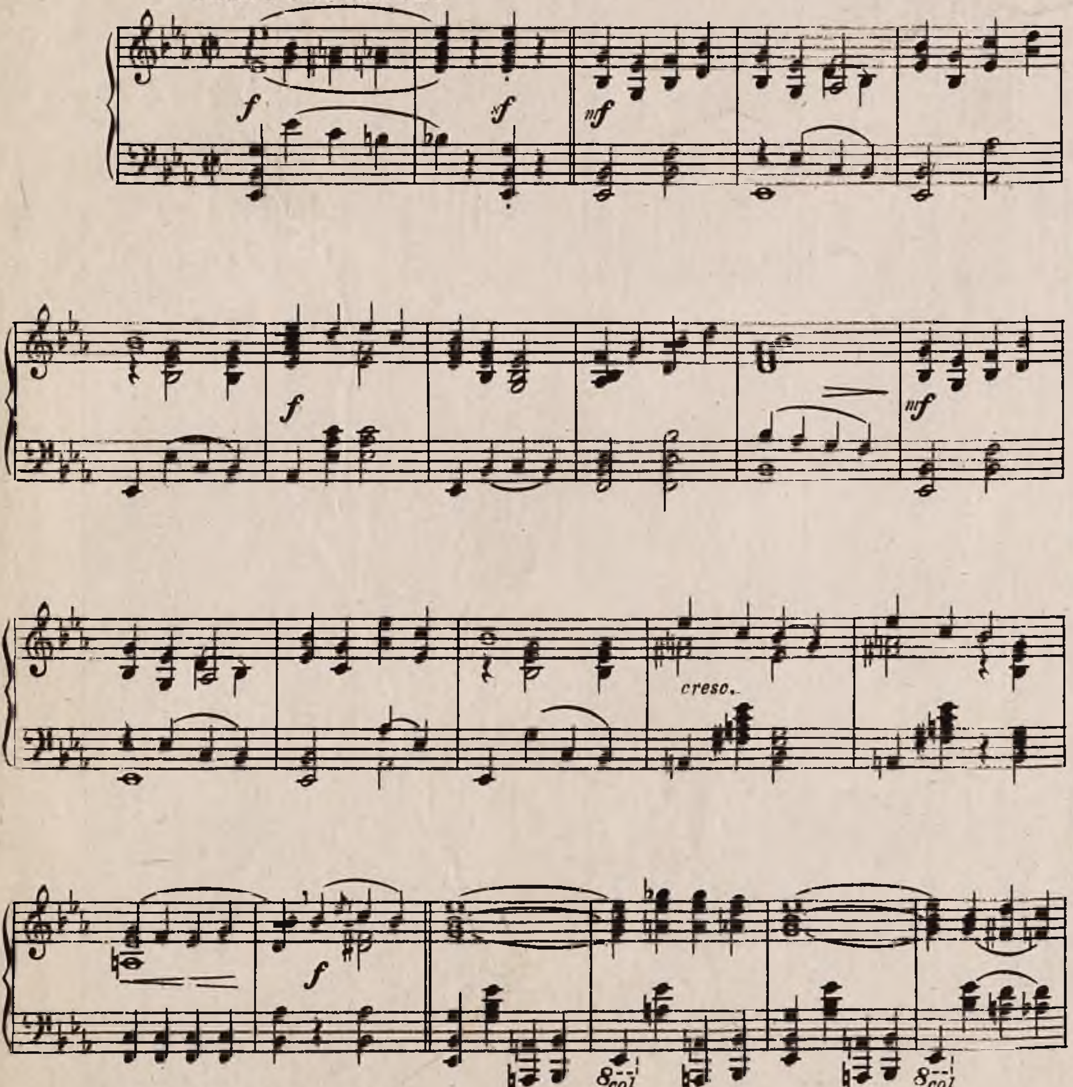
Fot. J. Szwedo Kraków.

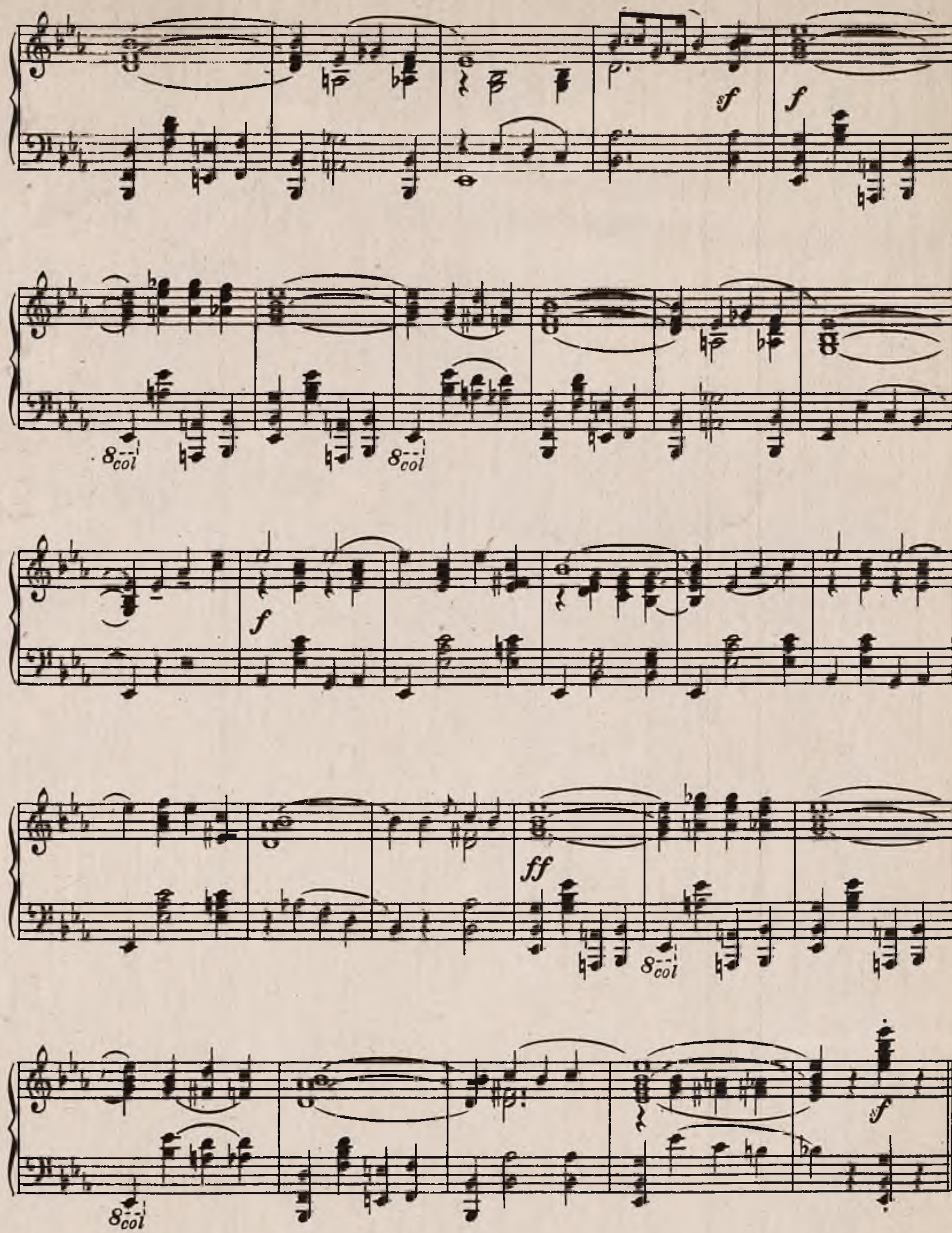
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA”:

Szalony dzień

FOXTROTT

JERZY WILLNET





Życie ARTYSTYCZNE

SUKCES REŻYSERA I AKTORA





Niewiarowicz po cywilnemu... ...i w roli ministra Fouché.

Do najznakomitszych indywidualności polskiego teatru należy dziś bezwątpienia Roman Niewiarowicz autor, aktor i reżyser w jednej osobie. Po szeregu wybitnych kreacyj aktorskich i prac reżyserskich w ciągu ostatniego roku. Niewiarowicz wystawił ostatnio w Warszawie „Madame Sans Gêne", kreując sam rolę Fouche'go. Zarówno reżyserja, jak i gra artysty zdobyły sobie najwyższe uznanie krytyki i publiczności. Przedstawienia „Madame Sans Gêne" odbywają się przy wyprzedanej widowni. Niemniejsze sukcesy odnosi Roman Niewiarowicz jako autor. Wystarczy przypomnieć, że jego dwie doskonałe komedje „Gdzie djabeł nie może" i „Dlaczego zaraz tragedja" obiegły niemal wszystkie polskie sceny i w najbliższym czasie pojawią się w repertuarze teatrów berlińskich.

NOWE TAŃCE ZIUTY BUCZYŃSKIEJ



Najwybitniejsza nasza tancerka Ziuta Buczyńska należy też do najbardziej ruchliwych artystek. Jeszcze nie przebrzmiały echa jej udanych występów na Łotwie, a już Buczyńska szykuje się do nowego „lotu" zagranicę, tym razem do Kowna, które stało się modnym celem wycieczek artystów polskich. Potem, prawdopodobnie w marcu, przyjdzie kolej na wielkie tournée po Włoszech. W związku z temi wyjazdami Ziuta Buczyńska przygotowała nowy repertuar tańców i do nich dostosowane wspaniałe kostjumy Na zdjęciu obok widzimy świetną tancerkę w „Sarabandzie". Fot. Forbert.



PO POWROCIE Z AMERYKI „CHÓR DANA" ŚPIEWA W POLSCE

Mimo wieloletnich występów i powstania kilku innych dobrych zespołów śpiewaczych, Chór Dana został na pierwszem miejscu, co zawdzięcza swemu kierownikowi Władysławowi Danowi-Daniłowskiemu, rasowemu muzykowi, dysponującemu nietylko wybitnym talentem, ale również rutyną, wiedzą i kulturą muzyczną. Również i poza granicami kraju występy Chóru Dana cieszą się wielkiem powodzeniem, czego dowodem było ostatnio odbyte drugie zkolei tournée koncertowe po Stanach Zjednoczonych A. P. Po powrocie do kraju „Daniści" dali szereg koncertów w miastach prowincjonalnych, a ostatnio odnieśli wielki sukces w Filharmonji warszawskiej. Od 1 lutego Chór Dana występuje w „Qui-Pro-Quo", przyjmowany owacyjnie. Na zdjęciu obok widzimy „Danistów" w luksusowym autocarze towarzystwa „Peter Pan Bus Lines" w drodze do Bostonu.

Dokończenie ze str. 20.

Wśród połamanych kwiatów, porzuconych misek i instrumentów pozostaliśmy tylko dwoje: Leila, jakby jeszcze wsłuchana w echa muzyki, zaskrzepła w tanecznej pozie i ja urzeczony jej pięknością.

Z oddali dolatywały okrzyki i pieśni łowiących palolo, a światła pochodni znaczyły na gładkiej tafli zatoki długie, krwawe smugi.

Podszedłem do Leili i wziąłem jej rozpaloną rączkę w obie dłonie.

Spojrzała na mnie zdziwiona, zbudzona ze snu o muzyce i tańcu.

Znasz hawajskie noce przesycone zapachem kwiatów, słodkie i ubezwładniające... kto raz przeżył noc taką, ten nie zapomni jej nigdy i tęskni za jej powrotem. Taką łagodną i ubezwładniającą zarazem jak noc na Hawaj, była Leilo. Gdyśmy szli wtedy ku wschodzącemu księżycowi, wiedziałem, że życie bez niej nie będzie miało dla mnie wartości.

W dniu Kamehumena [1]) była już moją żoną. Wzięliśmy ślub w kościele, ślub białych-haole, ku oburzeniu kolegów z klubu handlowego i ich amerykańskich rodzin.

Wielu białych bierze za żony wyspiarki o wiele brzydsze od Leili, ale z pieniędzmi. Nie patrzą wtedy na skórę swej wybranej i uważają takie małżeństwo za świetny i uzasadniony interes. Moje małżeństwo było dla nich oburzające i niezrozumiałe, bo Leila, choć ze starego książęcego rodu hawajskiego, była biedna, a rodzice jej trudnili się połowem ryb i ośmiornic nad ubogą zatoką Alahune.

Odsunąłem się więc od życia klubowego, by nie dawać kolegom sposobności do uszczypliwych uwag. Jednym z powodów ich naigrawań były też zwyczaje mojej żony, która zabobonna jak wszystkie wyspiarki, nie chciała zmienić białej haloku [2]) na strój modnej Amerykanki, włosy zdobiła leisami ponciany, a na szyi nosiła wspaniały „paunoa", naszyjnik z zębów rekina wiązanych włosami. Naszyjnik ten był jedyną pozostałością po świetnych książęcych przodkach Leili, którzy w pierwszych latach XIX wieku strąceni przez Kamehumena z tronu, utracili cały majątek i wygnani z rodzinnego Hawaj, rozproszyli się po małych wysepkach Pacyfiku. Jeden z nich zwany Olona Olea — Drzewo Żelazne, zawędrował na wyspę...

W tej chwili wicher wtargnął przez okna do pokoju, przewracając i przesuwając sprzęty. Drewniane okiennice z łoskotem uderzały o ramy. Pastor zerwał się od stołu, podbiegł ku oknu i usiłował zatrzasnąć zasłony, ale wicher raz po raz wyrywał mu je z ręki. Dopiero przy pomocy Roskoego, zdołał pozamykać okna, o które uderzały odłamane gałęzie i liście palm niesione szaleńczą siłą wiatru.

Po zamknięciu okiennic w pokoju zapanował mrok.

Pastor po omacku wynalazł świece i zapalił je, umieściwszy w drewnianych lichtarzykach. Mdłe i migotliwe światło zwiększało uczucie dziwnego lęku, jakie wywołuje nadchodzący tajfun.

Stali przez chwilę w milczeniu, jeden przy oknie, drugi przy stoliku ze świecami, jakby zakłopotani. Nić opowiadania urwaną wtargnięciem wichru trudno było nawiązać wśród wycia tajfunu i trzeszczenia ścian.

Wreszcie Roskoe postąpił do stołu i dopił napoczęty kubek avy, napoju z korzeni jakona.

— Jedynym białym, który nie naśmiewał się z mojego małżeństwa był Jonson. Pamiętasz pewnie, z jakim żarem stawał zawsze w obronie przyjaciół. I w tej chwili nie zawiodłem się na nim. Starał się przekonać członków klubu, a kiedy mu się to nie udało, powiedział im parę cierpkich uwag i razem ze mną usunął się z życia białych naszej wyspy.

Chwile te jeszcze bardziej zbliżyły nas ku sobie. Jonson był stałym gościem w naszym domu.

Leila okazała się najlepszą żoną, jaką możnaby sobie wymarzyć. Kochająca, czuła i delikatna dzieliła wszystkie moje myśli, radości i troski. Jej miłość i przywiązanie były bezgraniczne. Nigdy też, ani przez chwilę nie żałowała swego małżeństwa.

Dnie, tygodnie, miesiące mijały w szczęściu i pogodzie.

Pracowałem wtedy dużo i często musiałem na czas dłuższy wyjeżdżać do miejsc połowu pereł. Gdy wracałem witała mnie na progu domu żona uśmiechem i pocałunkiem.

Każdą wolną chwilę spędzaliśmy na motorówce, lub pływaliśmy długie godziny po błękitnych zatokach wyspy. Czy muszę dodawać, że stałym towarzyszem wszystkich zabaw i wycieczek był Jonson? Był on nieocenionym kompanem.

Ale chwile szczęścia nie trwały długo...

Zniszczył je list! Podły tchórzliwy anonim!

Dostałem go wieczorem wraz z dziennikami i gdy po przeczytaniu zobaczyłem, że mam do czynienia z nędzną obmową, podarłem go i odrzuciłem. Zawierał tylko kilka słów: — „Leila i Jonson umieją doskonale wykorzystywać Pana wyjazdy".

Chciałem zapomnieć jak najprędzej o tym liście. Zanadto wierzyłem przyjacielowi, za bardzo ufałem żonie.

Następnego dnia wypłynęliśmy na morze dalej niż zwykle. Wracaliśmy z przypływem na grzbietach fal. Wyczekawszy stosownej chwili, by „uchwycić falę", umknęliśmy na jej błękitnym szczycie z białą pianą u nóg ku dalekiemu brzegowi. Jak wiesz, trzeba nielada wprawy, aby „uchwycić" dużą falę pełnego morza. Grzywy przewalają się z łoskotem i szumem, a lada nieostrożność grozi ogłuszeniem i zatopieniem.

Leila płynęła wspaniale. Jej brązowe ciało unosiło się lekko, jak liść na wodzie. Gdy nadchodziła grzywiasta fala, mogąca uderzeniem zdruzgotać jej drobną główkę, zanurzała się miękkim ruchem i po chwili ukazywała się za spienioną górą wody urocza i uśmiechnięta.

Jonson pływał najgorzej z naszej trójki. Kilka razy zawcześnie zanurzył się i zakrztusił słoną pianą. Nagle nadeszła ogromna grzywiasta fala... Jonson nie zauważył jej, albo nie docenił siły i nie zanurzył się na czas. Uderzenie było bardzo mocne! Jonson zniknął nam z oczu, by po chwili ukazać się oszołomiony i ogłuszony. Nadchodziła następna grzywiasta i wtedy Leila podpłynęła do niego, objęła w pół i zanurzyła się wraz z nim na czas, by uniknąć ciosu fali.

Aż do brzegu obejmowała go ramieniem i nie pozwoliła się zastąpić. Pływała lepiej ode mnie i postępowanie jej było zupełnie usprawiedliwione, ale po przeklętym anonimie dopatrywałem się mimowoli w każdym jej ruchu zarodku zdrady.

Gdy opiekowała się Jonsonem po wyjściu z wody, rozcierała jego skostniałe ręce i zesztywniałe barki, zazdrość wypełniła wszystkie moje myśli.

Odtąd nie zaznałem już spokoju.

Miałem właśnie wyjechać na Samoa. Długo się namyślałem, nim zdecydowałem się na tę podróż, na pozostawienie ich samych.

Roskoe umilkł na chwilę zmęczony nerwowem opowiadaniem. Chybotliwe płomyki świec rzucały na jego bladą twarz nikłe światło. Za ścianami wył i szalał tajfun.

Pastor wstał od stołu, poprawił knot jednej ze świec i stanął przed przyjacielem z rękami opartemi na stole, patrząc na pochyloną głowę opowiadającego.

— Dzień był parny i zwiastował tajfun, jak dzisiejsze przedpołudnie. Stateczek przybrzeżny zapełniony towarami i tłumem kanaków wolno posuwał się przez gładkie, jakby polane oliwą morze. Oczekiwaliśmy burzy, ale tak nagłego uderzenia tajfunu jak ten, który wtedy spadł na naszą starą łupinę, jeszcze nie widziałem. Woda wokoło statku zawrzała i wyskoczyła białemi kosmykami ponad pokład. Nim zdołano obrócić statek dziobem przeciw wiatrowi, fale zaczęły się przelewać przez burty.

W jaki sposób zdołaliśmy wtedy ujść cało i wrócić do portu, a potem przejść ze statku na brzeg wśród przewalających się bałwanów, trzasku łamanych masztów i świstu lin smaganych wiatrem, tego dotychczas nie rozumiem. Przewracany i popychany przez huragan, biegłem do mojego bungalowu, a wokoło padały drzewa, niesione wichrem gałęzie i strzępy jakichś przedmiotów uderzały mnie w plecy.

Dopadłem do drzwi domu i ledwie zdołałem je zamknąć za sobą.

— Leila! — zawołałem — Leila!

Ryk wichru był jedyną odpowiedzią.

Jak szalony przebiegłem przez wszystkie pokoje, wykrzykując imię żony. Nagle myśl jak błyskawica przeleciała przez głowę:

— Leila jest u niego, u Jonsona!

Wybiegłem na ulicę, a właściwie wdarłem się w chaos lecących gałęzi i liści palm. Woda zatoki wtargnęła do miasta i sięgała na ulicy po kolana.

Walcząc z huraganem doczołgałem się więcej na kolanach, niż doszedłem do bungalowu Jonsona.

Szarpnąłem drzwiami... ustąpiły. W półmroku halu stanąłem bezradny i nagle zacząłem krzyczeć:

— Jonson! Jonson!

W uchylonych drzwiach sypialni stanął Jonson. W rękach trzymał biały naszyjnik „paunoa"...

Rzuciłem się na Jonsona z dzikim okrzykiem! Chwyciłem go za gardło i oszalały zazdrością począłem dusić!

Początkowo zaskoczony nie bronił się, lecz po chwili w obronie życia wpił palce w moją twarz.

Walczyliśmy na śmierć i życie!

Przez niedomknięte drzwi wlewała się woda. Zalewała nam usta i oczy, gdy potknąwszy się upadłem na podłogę, pociągając Jonsona.

Jonson był silniejszy i zaczął przeważać i byłby mnie zabił, lub może tylko ubezwładnił, gdyby nie przewrócony w zamęcie walki stół, o który uderzył skronią.

Oszołomionego chwyciłem za gardło i dusiłem... dusiłem... nurzając równocześnie charkoczące usta w brudnej wodzie!

Przestał się bronić i opadł bezwładnie!

Wstałem, a spojrzawszy ku drzwiom sypialni, zatoczyłem się jak pijany.

W drzwiach stała nieznana kobieta...

Co potem się stało nie wiem. Usłyszałem jeszcze tylko trzask łamiącego się drzewa i straciłem przytomność...

— — — — — — — —

Znaleziono mnie wyrzuconego przez morze o kilka mil dalej u stóp góry Molokai. Chorowałem długo i, na Boga! wolałbym umrzeć.

Trupa Jonsona nie znaleziono, a zwłoki nieznajomej kobiety fala wyniosła niedaleko miejsca mego ocalenia.

Zginęła też i Leila... Przywaliło ją drzewo, gdy wracała z nad zatoki Alahune, gdzie odwiedziła swych rodziców. Pochowałem ją w białej haloku i illima leisach [1]) z kwiatów ponciana. Na szyi miała biały panoa, stary naszyjnik, który miał jej przynieść szczęście...

Pastor w milczeniu podszedł do okna i otworzył okiennice.

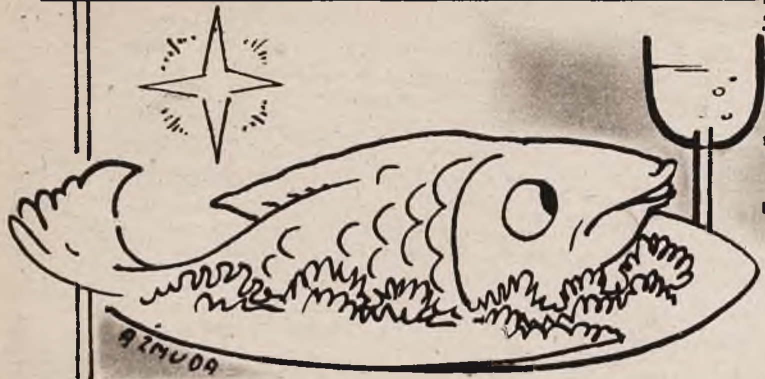
Tajfun już minął. Niebo migotało gwiazdami, a rześki powiew szedł od morza.

Od zatoki dolatywały dźwięki dziękczynnej pule, śpiewanej piskliwym dyszkantem.

[1]) Kamehumen — Założyciel dynastji Hawaj, dzień jego urodzin obchodzony jest jako święto.
[2]) haloku wolna s[illegible]iska.

[1]) illima leisy — pożegnalne wieńce.





JEDZMY RYBY!

Polska kuchnia, jakkolwiek ma w swym repertuarze potrawy z ryb słodkowodnych, mało się niemi posługuje, różniąc się tem wybitnie od kuchni francuskiej, w której ryby zajęły więcej miejsca od mięs. Nie dzieje się to dlatego, że francuska kuchnia bardziej od naszej dba o wykwintne potrawy, lecz raczej z tego powodu, że tam wcześniej zostały docenione walory zdrowotne ryb jako pożywienia lekko strawnego.

Mając w kraju poddostatkiem ryb, których hodowla wzmaga się z roku na rok, winny panie domu, w dobrze zrozumianym interesie swych rodzin i ogólno-polskiej gospodarki rybnej, stosować jak najwięcej potraw rybnych do codziennego menu. — Wprowadzi to tak zalecane urozmaicenie pożywienia i da możność rozszerzenia repertuaru kulinarnego o poważny dział potraw rybnych, zaliczanych istotnie do bardzo wykwintnej kuchni.

Że sprawy te sięgają daleko poza zasięg spraw czysto kuchennych i domowych, świadczy fakt celowej propagandy, uprawianej przez polskie Krajowe Towarzystwo Rybackie, najstarszą organizację rybacką, istniejącą na naszych ziemiach. Związek ten urządza wspólnie ze Związkiem Pań Domu, pokazy i kursy gotowania i przyrządzania ryb. Ich bardzo liczna frekwencja wskazuje dobitnie na wielkie zainteresowanie tą dziedziną.

W Krakowie odbył się w ostatnich czasach drugi taki kurs, połączony z pokazem gotowania ryb. Przyczyni on się napewno doskonale do propagandy spożycia ryb oraz do zwiększenia konsumpcji tego produktu polskich rzek i stawów.

Specjalna instruktorka z Warszawy na oczach kilkuset zebranych osób, wykonała szereg wykwintnych potraw rybnych, mogących zająć miejsce na najelegantszym stole, ale zarazem łatwych do przyrządzenia.

Oto sposoby wykonania niektórych dań rybnych z pokazu krakowskiego, którego półmiski, przybrane przez członkinie Związku Pań Domu, mogły zadowolić najwybredniejsze gusta:

Karp po żydowsku: Sprawionego karpia (1.50 kg) podzielić na dzwonka, mleczko i wątrobę zachować do podprawienia sosu. Dzwonka posolić i ułożyć w rynce porcelanowej, a w międzyczasie poszatkować 15 dkg włoszczyzny, 10 dkg cebuli i zalać je litrem wody, do której dodaje się prócz tego soli, pieprzu, ziela angielskiego i liście bobkowe. Gotować jarzyny do miękkości, następnie dodać do nich przetartą wątróbkę i mleczko oraz sok, jaki puści ryba pod wpływem soli. Wkońcu włożyć dzwonka rybie i gotować na wolnym ogniu, posłodziwszy jeszcze smak 4—5 łyżeczkami cukru. Podając karpia na półmisku, przybrać go jarzynami i polać sosem.

Galareta z karpia, szczupaka lub innych ryb (1 kg ryby, 15 dkg jarzyn, pieprz, ziele angielskie, liście bobkowe, sól, pół cytryny, 2 białka, 4 listki żelatyny na pół litra wywaru): Rybę oczyścić, sprawić, oddzielić ości, pokrajać w dzwonka i nasolić. Przygotować wywar z jarzyn, korzeni i cebuli. Ułożyć dzwonka ryby i głowę w rondlu, zalać wywarem i gotować do miękkości. Wywar przecedzić. Żelatynę namoczyć w wodzie, wycisnąć, dodać białka, cytrynę lub ocet, rozbić trzepaczką, zalać wywarem rybnym, zagotować i przecedzić przez gęsty woreczek. Dno formy ubrać jarzynkami, jajkiem na twardo, plasterkami cytryny, ułożyć dzwonka rybie, wszystko ładnie ze sobą zestawiając. Zalać tężejącą galaretką i postawić w zimnem miejscu, aby galareta całkowicie stężała. Przed wydaniem zanurzyć na sekundę w gorącej wodzie i wyrzucić galaretę na półmisek.

Karp faszerowany w galarecie (1.50 kg karpia, 1 jajko, 1 bułka, 1 łyżka masła, cebula, sól, pieprz, galareta wygotowana z głów ryby): Karpia oczyścić, sprawić, podzielić na okrągłe dzwonka. Mniejszego karpia przeznaczyć na zmielenie mięsa na maszynce po oddzieleniu go od ości. Także i bułkę namoczoną w mleku przepuścić przez maszynkę, potem wszystko wymieszać z cebulą utartą na tarku, jajkiem, solą i pieprzem. Farsz ten ponakładać w dzwonka rybie i gotować w rondlu w przygotowanym wywarze z jarzyn. Po ugotowaniu ułożyć na półmisku, przybrać, przygotować jak poprzednio galaretę, zalać faszerowane dzwonka i postawić do zastygnięcia w chłodzie.

Karp, szczupak lub karaś po grecku (1 kg ryby, 1 cebula, 15 dkg jarzyn, 3 łyżki marmolady pomidorowej, 1/4 litra oliwy, sól, pieprz, gałka muszkatułowa, papryka): Oczyszczoną rybę osolić, pokrajać w dzwonka i usmażyć na oliwie. Po usmażeniu ułożyć na półmisku i zalać następującym sosem: Drobno posiekaną cebulę udusić na oliwie, dodać pomidory, drobno posiekane jarzyny, soli, pieprzu, papryki, gałki muszkatułowej, cytryny i szczyptę cukru. Udusić jarzyny do miękkości i zalać rybę. Najlepsza jest na zimno, podawana na drugi dzień po przyrządzeniu.



Oto ingredjencje potrzebne do sporządzenia smacznego gularzu rybnego.



Stół bogato zastawiony różnemi potrawami rybnemi pokazuje nam jak dużą rolę w naszem pożywieniu mogą grać ryby, dotychczas przez nas niedoceniane.

Lin à la flaczki (1 kg lina, 1/4 litra śmietany, 10 dkg masła, 25 dkg włoszczyzny, mała cebula, 3 dkg mąki, sól, pieprz, majeranek i imbir): Z oczyszczonej surowej ryby wyjąć ości, pokrajać mięso w cienkie paski i obsmażyć na maśle. Włoszczyznę pokrajaną cienko udusić z cebulą na maśle. Mąkę przesmażyć z masłem jako zasmażkę, rozprowadzić rosołem, wygotowanym z ości, zaprawić śmietaną, przyprawić korzeniami i wymieszać z przysmażoną rybą i jarzynkami, poczem razem trochę poddusić.

Węgorz w galarecie: Węgorza obciągnąć ze skóry, posolić, pokrajać w dzwonka i ugotować w smaku z jarzyn, cebuli i korzeni. Gdy będzie miękki, wyjąć, oddzielić od ości i postępować dalej tak, jak podano przy galarecie z karpia.

Szczupak faszerowany (1 kg szczupaka, 2 bułki, 1 jajko, 15 dkg jarzyn, 1/2 szklanki mleka, sól, biały pieprz, gałka muszkatułowa i cebula): Szczupaka sprawić, oddzielić głowę, a mięso obrane z ości usiekać na desce, dodając utartą na tarku cebulę, bułki namoczone w mleku i wyciśnięte, oraz jajko, sól, i pieprz. Wyrobić dobrze, dodając trochę mleka lub wody, aż masa będzie pulchna. Uformować z niej wałek, zawinąć w serwetę, posmarowaną masłem i gotować w wywarze z jarzyn i głowy szczupaka. Po ugotowaniu i wystygnięciu, krajać w cienkie plastry, układać na półmisku, przybrać jarzynkami i podawać na zimno lub na gorąco z sosem chrzanowym, majonezowym lub jarzynową sałatką.

Ryba w majonezie (1.50 kg ryby, 15 dkg jarzyn, sól, korzenie, a do ubrania jarzynki, grzybki, jajko na twardo, ogórek, pomidor itp.): Rybę sprawić w całości, posolić na pół godziny i gotować w smaku z jarzyn i korzeni na wolnym ogniu, uważając, aby się nie rozleciała. Ugotowaną osączyć ze smaku i wystudzoną ułożyć na półmisku grzbietem do góry. Posmarować grubo majonezem i ubrać przygotowanymi dodatkami. Zamiast całej ryby można zużyć małe rybki lub też pozostałości z ryb. Formuje się z tego małe kulki wielkości jaja, układa na półmisku i zalewa każdą majonezem.

Smaczny gularz z ryby morskiej sporządza się w ten sposób, że w rondelku przysmaża się drobno pokrajaną cebulę, zaprawia papryką i w tych dodatkach dusi się na wolnym ogniu nasolone kawałki ryby. Po 10 minutach zalewa się rybę kwaśną śmietaną z dodatkiem mąki i rozcieńcza sos ekstaktem maggi. Po dalszych 15 minutach duszenia odstawia się gotowy gularz rybny i podaje ze smażonemi ziemniaczkami.



Urocza artystka filmowa Dorothy Lamour przy codziennych zabiegach kosmetycznych.

Na prawo: 1. Nacieranie szyji kremem. — 2. Przypudrowanie szyji kończy zabiegi kosmetyczne.





NOWOCZESNA KOSMETYKA

Pielęgnacja szyji

Utarło się porównanie szyji kobiecej do pięknych kształtów szyji łabędzia. Stawia to duże wymagania wobec przedstawicielek płci pięknej w obecnej dobie, kiedy radykalnie zmieniona fryzura odsłoniła kark, długo ukrywany pod puklami włosów. Odczesanie włosów do góry postawiło wygląd szyji na jednem z pierwszych miejsc w dziedzinie kosmetyki. Szyja musi mieć młodzieńczy wygląd, bez fałdów i zmarszczków, bez pokładów tłuszczu.

Jak konserwować szyję, aby odpowiadała postawionym wymogom i jak przeciwdziałać wadom, jeżeli już zdołały wycisnąć swe bolesne piętno — oto temat dzisiejszych naszych rozważań. Podane poniżej środki można stosować w jednym jak w drugim wypadku, przy uwzględnieniu bardziej charakterystycznych uwag przy poszczególnych zagadnieniach.

Szyja powinna być traktowana, podobnie jak i twarz, w codziennych zabiegach higjenicznych i kosmetycznych, aż do przypudrowania, po lekkiem natłuszczeniu kremem podkładowym.

Dla wzmocnienia mięśni szyji i utrzymania skóry w należytym stanie, trzeba powtarzać od czasu do czasu masaże i ćwiczenia, które tu podajemy.

Układamy dłonie na szyji pod brodą i przytrzymujemy je silnie, skłaniając przytem głowę w przód. W ten sam sposób umieszczamy ręce na karku, przechylając głowę wstecz. Następnie opieramy dłonie na skroniach i przeciwstawiamy się całą siłą rąk pochyleniu głowy w prawą i lewą stronę. Ćwiczenia te wzmacniają i wyrabiają mięśnie szyji i nie pozwalają na gromadzenie się podkładów tłuszczu, które deformują kształty szyji i karku.

Inne ćwiczenie wykonujemy przy swobodnem położeniu głowy, stojąc lub siedząc. Szybko, krótkiemi ruchami, powtarzającemi się kolejno, spuszczamy głowę w przód, w tył, na prawo i na lewo. Następnie wykonujemy głową ruch kolisty w jedną stronę 6—8 razy, a potem w drugą stronę. Cała postać jest przytem wyprostowana, a ramiona nie biorą w ruchach głowy żadnego udziału.

W tej samej pozycji zwracamy głowę na prawo, potem szybko na lewo, starając się odwracać głowę jak najdalej. Ćwiczenie to „rzeźbi", wyrabia doskonale dwa postawowe ścięgna szyji, które tak plastycznie występują. Osoby o krótkiej szyji powinny szczególnie przyswoić sobie to ćwiczenie, gdyż przy większym dekoltażu, szyja tak gimnastykowana, robi wrażenie znacznie dłuższej, niżeli jest w rzeczywistości.

Jeżeli piękna pani umie zdobyć się na silny autokrytycyzm, powinna skontrolować wygląd swej szyji w połączeniu z ramionami przed lustrem, aby przekonać się, czy linja szyji i karku, przechodząca w linję pleców, jest nieskazitelnie piękna, jaką być powinna przy pięknej budowie ciała kobiecego. Jeśli są jakieś braki, wyrównajmy je następującem ćwiczeniem ramion:

W pozycji stojącej lub siedzącej wyciągamy ramiona w górę i zwracamy dłonie w stronę sufitu, a następnie, zginając dłoń w przegubie, zwracamy dłoń na dół i znów ku górze. Ćwiczenie to wykonywane bez zginania rąk w łokciach zmusza do pracy mięśnie pomiędzy ramionami i szyją.

Zajmijmy się jeszcze wyglądem odsłoniętego przez włosy karku. Która z pań używała dotąd brzytwy lub żyletki, widzi teraz jak przykre pozostały po nich skutki. Można temu przeciwdziałać, używając raz na tydzień maseczki piękności na całą szyję z żółtka. Po przemyciu szyji naciera się ją kremem, tym samym, którego używamy do twarzy i masujemy szyję płaskim ruchem wyprostowanych dłoni, przesuwając jedną i drugą ręką naprzemian. Tak masujemy przód szyji i kark. Po masażu trzeba skórę lekko napudrować.

Kontynuując zabiegi koło szyji według powyższych wskazówek, możemy za jakiś czas osiągnąć doskonałe rezultaty, w postaci uszlachetnienia wyglądu, tak ważnego detalu, jakim w zakresie urody kobiecej jest szyja.

Elwira.



BAL MASKOWY

Maskarady i reduty, nie nowa to rzecz. Zwyczaj przebierania się i maskowania w okresie karnawału sięga bodajże późnego średniowiecza, a pełny jego rozkwit przypada na szumną i barwną epokę renesansu. Odtąd utrzymuje się on w słabszem lub silniejszem natężeniu, ale bez przerwy.

Czem tłumaczyć to zamiłowanie do maskarady? Czy tylko płochością i żądzą zabawy lub wrodzonem kobietom zamiłowaniem do zdobienia się w coraz to inne stroje? Niekoniecznie! Przyczyny, które spowodowały powstanie tego zwyczaju i utrzymują go na przestrzeni tylu wieków tkwią głębiej: w dążeniu do szukania odmiany w otoczeniu i w sobie, do swobodniejszego, szczerszego wyładowania swego temperamentu, nastroju i humoru, na co pozwala maska karnawałowa, kryjąca na kilka godzin nasze prawdziwe oblicze, które — właśnie jest maską, z tą tylko różnicą, że ponieważ nosimy ją stale, przylgnęła już do nas jako coś stałego.

W okresach dziejowych, w których ludzkość przeżywała najgłębsze wstrząsy i niepokoje, zamiłowanie do zabaw nie malało, lecz wręcz przeciwnie, rosło w niesłychany sposób. Im cięższe myśli chmurami zasłaniały jasny horyzont, im większe napięcie nerwów, im większy lęk przed rzeczywistością — tem bardziej szukamy ucieczki od tego, co nas gnębi, czy niepokoi. A tę ucieczkę stosunkowo najłatwiej znaleźć w tańcu i winie, które bodaj na chwilę odgradza nas oparem złudy od szarej codzienności.

Każdy niemal człowiek nosi w sobie tęsknotę za czemś, aby być innym, niż jest. Każdy niemal ściga w swych marzeniach jakiś nieosiągnięty pierwowzór, jakiś typ, którym może potrafiłby być, gdyby warunki życia i otoczenie nie hamowało zewnętrznym przymusem jego wrodzonych skłonności, zamiłowań i uzdolnień. Być sobą w całej pełni, wszak najtrudniejsza to rzecz, największy luksus, na jaki pozwolić sobie mogą tylko nieliczni wybrani.

I dlatego ludzie tak lubią, bodaj na krótką jedną noc wyjść ze swej codziennej skóry, być sobą, to znaczy kim innym, niż się jest w rzeczywistości, niż nas ukształtowały zewnętrzne i psychiczne warunki naszego życia.





Na lewo: Nawet stroje noszone na balach maskowych przypominają coraz większą militaryzację świata: strój pięknej Amerykanki w postaci fantastycznego munduru.

Młoda kobieta, którą poważne obowiązki rodzinne i życiowe „zgasiły" wcześnie, przebiera się na redutę za podlotka: wydaje jej się, że dzięki krótkiej sukience i swobodnie na plecy opuszczonym warkoczom potrafi wyżyć swą beztroską pustkę, swą naiwną radość życia — przytłumioną przez codzienne, szare obowiązki. Kobieta oddana ciężkiej pracy zawodowej, walcząca o byt w trudnych warunkach, zmuszona do wyrzeczeń i rezygnacji z wielu zachcianek i upodobań, przebiera się za strojną renesansową damę, wyżywając w tem swe utajone i przez życie stłumione zamiłowanie do luksusu, przepychu, piękna i epikureizmu życiowego.

Wybór przebrania mógłby psychologowi dostarczyć niejednokrotnie ciekawego materjału badawczego do rozpo-



Powyżej: Kostjum symbolizujący ogień — odznacza się niezwykłą barwnością.

znania właściwej, wrodzonej natury danego człowieka. Często jest on wyrazem utajonych, a nawet podświadomych upodobań i marzeń.

Ale można patrzeć na reduty i maskarady i z innego punktu widzenia. Ot, poprostu okazja do zabawy, do odmiany, do pokazania się w pięknym, awantażowym stroju. Możemy się wyzwolić na chwilę zpod tyranji mody i dać upust swej pomysłowości, fantazji i estetycznym zamiłowaniom. A jakże barwny i urozmaicony widok daje sala balowa, jarząca się światłami, w blasku których przewijają się efektowne i błyskotliwe kostjumy, obok tajemniczych czarnych dominów. Maskarada bezceremonjalnie kpi sobie z chronologji i geografji: obok sentymentalnej markizy o pudrowanej główce bawi się beztrosko półdziki cow-boy z amerykańskiej prerji, obok ognistej Hiszpanki pod czarną koronkową mantylą tańczy czarno-biały pierot z włoskiej komedji, a renesansowa księżna w złocistych brokatach podaje ramię paryskiemu apaszowi... I nikogo to nie dziwi, nikogo nie razi. Karnawałowe szaleństwo na wszystko pozwala i wszystko tłumaczy, nawet to, że średniowieczny rycerz tańczy tak dobrze lambeth-walka z uroczą „violetterą"...

Właściwie, idąc po linji psychologicznego rozwoju balów maskowych, należałoby się spodziewać, że powinny one stawać się obecnie coraz bardziej popularne, wciągając w swą hałaśliwą, rozbawioną, karnawałową orbitę najszersze sfery społeczeństwa. Bo przecież życie dzisiejsze jest tak niezmiernie szare, egzystencja każdego z nas tak wtłoczona w pewne zgóry nakreślone i zwykle mało ozdobne i ciekawe ramki, że nie możnaby się dziwić, gdyby każdy przeciętny człowiek chciał jaknajczęściej przywdziewać inną szatę, by w ten sposób trochę urozmaicić swe życie. Bardziej nam, ludziom dzisiejszym, potrzeba tego urozmaicenia, jak naprzykład ludziom renesansu, którzy na codzień chodzili ubrani i żyli tak, jak bohaterowie jakiejś opery czy bajki z tysiąca i jednej nocy. Gdy wtedy zachodziła niejako hipertrofja barw i ozdobności, dziś daje się odczuć wyraźny ich brak. Ale „tempora mutantur et nos mutamur in illis", więc musimy się dostosować do warunków, by raz po raz tylko zrzucać z siebie szarą codzienność. **Lady Like.**





Powyżej: Oto kostjum balowy, który zatytułowane „American Beauty", przyczem uroda właścicielki jego podkreśla tę nazwę.

Na lewo: Nie było chyba maskarady, na którejby zabrakło pań, ubranych w krynoliny XVIII wieku — tak niepraktyczne, a tak piękne.

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

BARSZCZ MYŚLIWSKI sporządza się z barszczu żytniego, który można zakisić w domu, zalewając wrzącą wodą litr żytniej mąki tak, aby wynikła z tego gęsta papka. Naczynie z ciastem stawia się w ciepłem miejscu na 2—3 dni. Ciasto mocno fermentujące zalewa się zimną wodą i pozostawia w cieple dalsze dwa dni, poczem można już czerpać z wierzchu czysty, sklarowany barszcz. Do barszczu myśliwskiego używa się surowych resztek, okrojonych z dziczyzny, np. przodki zajęcze, podróbka dzikiego ptactwa i zwierzyny itp. Wszystkie te odpadki zalewa się wodą, dodaje soli, włoszczyzny, cebuli zrumienionej na blasze, troszkę korzeni, grzyba i kostkę cukru. Wygotowany rosół zalewa się barszczem tak, aby zupa była dobrze kwaśna, podprawia zasmażką z łyżki masła i mąki, zagotowuje i wylewa do wazy. Lepsze kawałki obrane z wygotowanego mięsa, oraz grzyby, kraje się w małe kawałki i wkłada do wazy. Ziemniaczki polane słoninką lub rumianem masłem podaje się osobno.

PIECZEŃ Z DZIKA. Mięsa z dzika używać można jedynie odleżałego w silnym bajcu przez 8—9 dni, a to z powodu swoistej jego woni, która się dopiero w trakcie bajcowania gubi. Na bajc gotuje się litr wody pół na pół z silnym octem; z korzeni dodaje się po łyżce jałowca, pieprzu, pokrajanej cebuli, selera, pietruszki, marchwi, ząbek czosnku, kilka liści bobkowych, parę goździków, skórkę obraną cienko z cytryny i dwie kostki cukru.

Ta ilość wystarczy na 5 kg mięsa. Bajcem, dobrze wygotowanym i ostudzonym, zalewa się mięso, zbite poprzednio pałką. Codziennie należy mięso odwracać i pozostawiać go w chłodnem miejscu, przyciśniętem talerzem i obciążone.

Wyjętą z bajcu pieczeń opłukuje się i osącza z wody dokładnie. Nadmierny tłuszcz musi być okrojony, a mięso naszpikowane młodą słoninką, poczem dusi się pieczeń z cebulą i jarzynami, a gdy nabierze rumianego koloru, podlewa się ją szklanką czerwonego wina, dodaje parę łyżek marmolady z porzeczek lub brusznic i dusi dalej przy skąpem dolewaniu bajcu w razie, gdyby się sos mocno wygotował. Miękką pieczeń kraje się w cienkie plastry i składa na półmisku w całość. Sos podprawiony śmietaną przeciera się przez sitko i podaje osobno w sosjerce. Ostre sałaty lub marynaty na occie, stosowne są do tej pieczeni.

ZIEMNIACZKI W CIEŚCIE. Elegancki garnitur do pieczystego przyrządza się z ziemniaków w następujący sposób: Duże, podłużne ziemniaki obiera się gładko, kraje w cienkie płatki, zalewa wrzątkiem, zagotowuje, odcedza i przelewa zimną wodą, poczem się rozkłada pojedyncze płatki na serwecie, aby obeschły. Dwa żółtka, szczyptę soli i łyżeczkę masła uciera się, dosypuje trzy łyżki mąki ziemniaczanej i dolewa tyle mleka, aby ciasto było lejące. Pojedyncze płatki ziemniaków macza się w cieście i smaży na mieszanym tłuszczu na różowo. Ciasto musi być tak gęste, aby się na ziemniakach utrzymało.

TORT CZEKOLADOWY. 7 dkg masła uciera się na pianę, dodając po jednemu 6 żółtek i po trosze 10 dkg cukru i 14 dkg rozmiękczonej w cieple czekolady. Wkońcu wmieszać należy po łyżce: pianę z 6 białek oraz 8 dkg dobrej mąki. Masę nalaną do tortownicy masłem natartej, piecze się w średnio gorącym piecyku przez trzy kwadranse. Ostudzony tort (najlepiej następnego dnia) przekrawuje się i przekłada kremem. Przepis na krem: 10 dkg cukru gotuje się z 1/8 litra wody na gęsty syrop, miesza z 14 dkg rozpuszczonej czekolady oraz szklanką bitej śmietany.

PIANKA MORELOWA. 10 dkg suszonych moreli wymywa się, nalewa wodą tak, aby były nią nakryte, dodaje łyżkę cukru i pozostawia przez noc, aby rozmiękły. W tej samej wodzie rozgotowuje się je i przeciera przez sito, jednak bez soku. Do przetartej masy dodaje się dwie łyżki mączki cukrowej i jedno białko, poczem uciera się wszystko tak długo, aż się utworzy gęsta, biaława pianka, którą się umieszcza na środku szklanego talerza. Dookoła pianki układa się torteletki z kruchego ciasta z marmoladą morelową lub połówkami smażonych moreli. Piankę podać też można tylko z biszkoptami lub waflami.

BISZKOPTY Z KREMEM. 2 żółtka, 2 łyżeczki mączki do zagęszczania, łyżkę cukru z wanilją, uciera się razem, dolewając po trosze 1/4 litra mleka, następnie wstawia naczynie do większego z gorącą wodą i ubija na ogniu gorący krem, który się po odstawieniu z ognia ubija dalej aż zupełnie ostygnie. Na kryształowym talerzu układa się gęsto biszkopty, przełamane na połówki, przesmarowane dobrą marmoladą morelową i zlepione po dwa razem. Biszkopty kropi się likierem i pokrywa gęstym, ostudzonym kremem, przybiera wierzch bitą śmietaną i konfiturami, poczem wstawia na lód do zastudzenia. Bez śmietany legomina jest również doskonała.

CACAO-FLIP. Do puszki cocktailowej daje się: 2 kieliszki likierowe gotowanej czekolady, kieliszek crème de cacao, świeże żółtko i kilka kawałków lodu. Mocno wymieszany likier nalewa się do kieliszków i posypuje gałką muszkatułową. **Sc. Ko.**

N O W O Ś C I

GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Apetycznie wyglądają dania w postaci koszyczka z ciasta ziemniaczanego, wysmażonego na fryturze i napełnionego jarzynkami. Jedyna przytem trudność polega na tem, że trzeba mieć s p e c j a l n e s i t k o, które widzimy na naszem zdjęciu. Dolne sitko, obszerniejsze, napełnia się ciastem ziemniaczanem, a górne, mniejsze, zaciska się, tworząc koszyczek. Następnie zanurza się całość w gorącej fryturze i smaży na złoty kolor, poczem wyrzuca się ostrożnie koszyczek.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 6 — **Luty** — Dni 28
Niedziela **5** Agaty p.	Rosół Consommé.Muszelki z sałatką pikantną.Pularda z kompotem.Tort czekoladowy z kremem. Kolacja:Mieszane wędliny z sosem tatarskim.
Poniedziałek **6** Doroty p.	Grochowa zupa z grzankami.Hachée z mięsa rosołowego /z niedzieli/.Rosbef garnirowany. Dołki z sokiem malinowym. Kolacja:Budyń jarzynowy.
Wtorek **7** Romualda op.	Krupnik z koperkiem.Faszerowana kapusta. Mostek cielęcy nadziewany.Marchewka z groszkiem.Kompot mieszany. Kolacja:Jaja w białym sosie z purée ziemniaczanem.
Środa **8** Jana z Malty	Zupa jarzynowa przecierana z grzankami. Pierożki ruskie z słoninką.Kaczka pieczona z buraczkami.Naleśniki z serem. Kolacja:Wątróbka cielęca szpikowana.
Czwartek **9** Apolonii	Kapuśniaczek z kiełbasą.Omlety z szynką. Ozór wołowy z fasolkową sałatką.Legomina z makaronu i jabłek. Kolacja:Sałata włoska,chleb z masłem.
Piątek **10** Scholastyki	Barszcz zabielany z ziemniaczkami.Jaja w sosie pomidorowym.Łupacz albo dorsz w sosie sardelowym.Legomina ryżowa. Kolacja:Wędzone ryby bałtyckie.
Sobota **11** Łucjana, Dezyd.	Rosół z makaronem.Sztuka mięsa z sosem szczypiorkowym. Bitki cielęce w śmietanie z kluseczkami.Kompot. Kolacja:Marynowany śledź.



